Nr. 49. Poznań, dnia 4 grudnia 1910 r. Rok XV

Abonament wynosi kwartalnie na poczcie . . 1,50 z odnoszeniem do domu . . . . 1,62 pod opaską . . 2,75

PRACA

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38 Telefon Nr. 97 **Ogłoszenia:** od wiersza drobnego 30 fen.

Nieco z przeszłości naszych dyecezyj.



Nominacya ks. kanonika Kloskiego na biskupa-sufragana gnieźnieńskiego sympatyczne echo wywołała w społeczeństwie i znów baczniejszą zwróciła uwagę na losy dyecezyj naszych pozbawionych od lat czterech najwyższego zwierzchnika.

Najstarszem polskiem biskupstwem jest biskupstwo poznańskie, założone r. 968. Przyłączone pierwotnie do metropoli magdeburskiej, wcześnie wyłączone zostało z pod władzy niemieckiej, wszakże ustąpić musiało pierwszeństwa w r. 1000 założonemu arcybiskupstwu gnieźnieńskiemu, które stało się z biegiem czasu siedzibą prymasów polskich.

Przez ośm wieków dzierżyli arcybiskupi gnieźnieńscy najwyższą władzę kościelną w Polsce i jako prymasi sprawowali rządy nad krajem w czasach bezkrólewia. Dopiero z upadkiem państwa polskiego zbladła także gwiazda prastarej stolicy św. Wojciecha, która pod władaniem protestanckiego rządu pruskiego na ustawiczne niemal narażona była walki i mnogie wycierpiała ciosy.

Gdy r. 1793, a więc po drugim rozbiorze Polski, pruski jenerał Moellendorf zaprowadzał w Księstwie nowy porządek rzeczy, dał on duchowieństwu polskiemu przyrzeczenie, że majątki kościelne pozostaną nienaruszone. Przyrzeczenie to, jak wiele innych podobnych, zawiodło w znacznej części, jak tego dowodzą liczne kasaty klasztorów i konfiskaty majątków duchownych. Wszakże sprawiło ono, że duchowieństwo bez znaczniejszego oporu pogodziło się z nowoutworzonym porządkiem rzeczy. Za czasów okupacyi pruskiej biskupi obu dyecezyj: arcybiskup gnieźnieński, prymas książę Michał Poniatowski, stryj ostatniego polskiego króla, i biskup poznański Ignacy Okęcki bawili w Warszawie. W zastępstwie prymasa biskup-sufragan hr. Rydzyński złożył przysięgę homagialną pruskiemu królowi. Po śmierci prymasa (r. 1794) został Ignacy Krasicki, biskup warmiński, znany poeta i przyjaciel króla Fryderyka II., arcybiskupem gnieźnieńskim, lecz tylko raz jeden przybył do Gniezna i ograniczał się jedynie do zgarniania dochodów. Umarł z dala od swej dyecezyi r. 1801 tylko serce swoje przekazując tumowi gnieźnieńskiemu. Trudniejsza była sprawa z obsadzeniem stolicy poznańskiej, gdy biskup Okęcki 15 czerwca 1793 r. w Warszawie rozstał się z tym światem. Aż czterech kandydatów ubiegało się o spuściznę po nim: hr. Karol Hohencolern, biskup chełmiński i krewny rodziny królewskiej, hr. Rydzyński, sufragan poznański, Melchior Gurowski, proboszcz kapituły gnieźnieńskiej i poznański kanonik hr. Ign. Raczyński, popierany u dworu pruskiego przez ambasadora rosyjskiego w Grodnie barona Siewersa. Poparcie rosyjskie przechyliło szalę na korzyść hr. Raczyńskiego. Prezentowany przez króla kandydat wybrany został przez kapitułę 21. sierpnia, a 10 października wybór jego przez króla zatwierdzony został. Zatwierdzenie papieskie nadeszło dopiero następnego roku. R. 1807 umarł biskup Raczyński. Dopiero po dwuletnim interregnum zasiadł na stolicy poznańskiej hr. Tymoteusz Gorzeński. Za jego to rządów wydał papież znaną bulę „De salute animarum", na mocy której biskupstwo poznańskie wyniesiono do rzędu metropoli i złączono z arcybiskupstwem gnieźnieńskiem przez osobę wspólnego połączonym dyecezyom arcybiskupa gnieźnieńsko-poznańskiego, którym został dotychczasowy biskup poznański hr. Tymoteusz Gorzeński. Jestto więc t. zw. unia personalna, która się kończy ze śmiercią każdorazowego arcybiskupa i przez ustanowienie nowego świeżo się zawięzuje. Obecnie — jak wiadomo — unia nie istnieje, a powstanie z chwilą, gdy nowy arcybiskup, który oby był Polakiem, zasiądzie na osieroconej stolicy.

Po śmierci Gorzeńskiego (1825) znowu były trudności z obsadzeniem opróżnionego tronu arcybiskupiego. Dopiero w trzy lata później r. 1828 objął go ks. Teofil Wolicki, lecz umarł w roku następnym. Następcą jego był hr. Marcin Dunin, który godność arcybiskupią piastował od r. 1830—1842. Zatarg z rządem w sprawie małżeństw mieszanych naraził go na proces i półroczne więzienie w twierdzy Kołobrzes-

kiej. Krótko po wstąpieniu na tron pruski Fryderyka Wilhelma IV. powrócił więziony arcybiskup do Poznania. Powiał łagodniejszy wiatr w Berlinie. R. 1841 dozwolono biskupom znosić się swobodnie z Rzymem, nadto ustanowiono w ministerstwie pruskiem osobny wydział katolicki, zniesiony później za czasów walki kulturnej, mimo to jednak znowu upłynęły trzy lata, nim po śmierci Dunina nowy arcybiskup objął zarząd dyecezyj. Był nim ksiądz Leon Przyłuski. Ponieważ za czasów jego panował względny pokój pomiędzy rządem a Kościołem, więc i wybór następcy jego nie sprawiał znaczniejszych trudności. Został nim po śmierci Przyłuskiego (1865) gorąco przez papieża Piusa IX. polecany ks. Mieczysław hr. Halka-Ledochowski, piastujący poprzednio dostojny urząd nuncyusza papieskiego w Brukseli. W kwietniu r. 1866 przybył nowy arcybiskup do Poznania i długie lata rządził dyecezyą w pokoju. Znakomity dyplomata umiał Ledochowski omijać konflikty z rządem, jednak i on doznał goryczy, jaka bodaj żadnego zwierzchnika naszych nieszczęsnych nie minęła dyecezyj, doznał jej w obfitszej mierze niż inni jego poprzednicy. Na jego to panowanie przypadła walka kulturana. Gnębiony procesami i karami pieniężnemi, które 90 000 marek wynosiły, fantowany, nareszcie więziony przez dwa lata w Ostrowie za opór stawiany prawom majowym, zrzekł się mianowany jeszcze w więzieniu 15 marca 1875 r. kardynałem, a następnie za granicę wywieziony arcybiskup r. 1886 stolicy gnieźnieńsko-poznańskiej i umarł r. 1902 jako prefekt propagandy czyli kierownik kongregacyi do krzewienia wiary św. w Rzymie.

Zrezygnowanie Ledochowskiego nastąpiło w tym celu, by nie utrudniać układów, jakie się toczyły pomiędzy rządem pruskim a Watykanem w sprawie wyboru nowego arcybiskupa. Został nim r. 1886 ks. Juliusz Dinder, uczciwy i sprawiedliwy Niemiec. Po jego śmierci (w połowie 1890 r.) znów nowe się wszczęły walki o osobę przyszłego arcybiskupa. Kandydatów poleconych przez kapitułę rząd odrzucił, nareszcie po półtoraroczném interregnum znów na drodze bezpośrednich układów pomiędzy rządem a Watykanem padł wybór na ks. Floryana Okszę Stablewskiego, naówczas prałata i posła do parlamentu i sejmu pruskiego. 14. grudnia 1891 r. nastąpiła prekonizacya przez papieża, 17 stycznia następnego roku odbyła się konsekracya i intronizacya nowego arcybiskupa w Gnieźnie, dnia 20 stycznia odbył się wspaniały ingres w Poznaniu. 24. listopada 1906 r. umarł złamany chorobą długoletnią arcybiskup, podczas gdy walki narodowościowe i religijne w niezapomnianym nigdy strejku szkolnym i stosowanych wobec niego represyach ponurym rozgorzały płomieniem.

Od owej chwili cztery lata minęły. Znowu rząd odrzucił kandydatów kapituły, znowu słychać o układach z Rzymem, znowu rozmaite wieści niepokoją strwożonych dyecezyan, a nie widać znaku, któryby zapowiadał rychłe tej ważnej sprawy załatwienie.

Sprawiedliwość, dobro Kościoła i narodu i dobrze zrozumiany interes państwa wymaga, by rząd dyecezyj objął mąż, któryby obok niezbędnych na tak ważnem stanowisku zalet osobistych posiadał także miłość i zaufanie społeczeństwa, a przynajmniej dawał nadzieję, iż przychylność dyecezyan zdoła pozyskać. Że w naszych warunkach taką osobistością może być tylko Polak — zbyteczna tłumaczyć.



Struga krytyńska.

Fr. Poświetnik.

Mazowsze pruskie.*)

„A czy znasz ty bracie młody,
„Te pokrewne twoje rody?
„A czy znasz ty bracie młody,
„Twoje ziemie, twoje wody?“

Mazowsze pruskie — słowo nie rzadko powtarzane w prasie polskiej. Mimo to większa część naszej inteligencyi nawet pod zaborem pruskim o tej dzielnicy nawet tyle nie wie co o Kamerunie lub biegunie północnym. A jednak są to krańce, zamieszkałe mniejwięcej przez 300 tysięcy ludu polskiego i tworzące skrzydło nasze najsłabsze i najbardziej przez niemczyznę zagrożone. Dlatego Mazowsze pruskie zasługuje na to, aby społeczeństwo polskie się niem zajmowało. Dziś po polach i borach, po górach i jeziorach mazurskich rozbrzmiewa jeszcze polski język, polska modlitwa i polski śpiew rozlega się z świątyń a pod chłopską sukmaną kryje się szczera polska dusza. Ale czy po wiekach też tak będzie? — Łany mazurskie, rzadko „wyzłacane pszenicą“, często „posrebrzane żytem“, rozległe lasy i bory, wielka puszcza jańsborska i liczne jeziora, które otoczone lasami śliczne tworzą krajobrazy, — one wszystkie dziś jeszcze są nasze chociaż niemczyzna z wszech stron na nie się wdziera. Nawet piaski szczycieńskie, na których „gryka jak śnieg biała“ powinny być drogie sercu polskiemu; bo choć

„Częste, gęste piaski, laski,
„Lecz głód rzadki, Bogu dzięki,
„Gdy się naród rzuci rojem,
„I dołoży silnej ręki,
„To nie darmo się i znoim:
„Gumna, stogi się postroją,
„I jest dosyć w potrzeb swoją.“

Mazowsze ma liczne miejscowości, widzenia godne i odznaczające się pięknością przyrody. Najbliższe Prus królewskich są powiaty nidborski i ostródzki. Tu ziemia jeszcze nie najgor-

*) Artykuł powyższy wzięty z zeszytu okazowego „Filarety“.

sza. W ostródzkim zasługuje na uwagę oprócz pięknie położonej stolicy mazurskiej pole bitwy grunwaldzkiej między Stembarkiem (Tannenberg) i Grynwałdem (Gruenfelde). Dziś niestety znajduje się w rękach niemieckich, a na polu bitwy sterczy jako pomnik buty pruskiej ogromny kamień z napisem



Widok Ełku.

niemieckim: „W walce za niemczyznę i prawo niemieckie poległ tu wielki mistrz Ulryk Jungingen 15. lipca 1410 r. śmiercią bohaterską“. — Idąc przez piaski szczycieńskie na wschód, przychodzimy do rozległych borów jańsborskich, w których często milami nie widać ni twarzy ni osady ludzkiej, nad głową sterczą korony drzew, a na ziemi po jagodach i po wrzosie hasa zwierzyna leśna. W powiecie jańsborskim warto też zwiedzić osady Filiponów, starowierców rosyjskich, którzy osiedli w kilku wioskach między naszym ludem mazurskim i do dziś zachowali swą wiarę i język i związek z krajem ojczystym. W jednej wiosce znajduje się mała drewniana cerkiew ruska z krzyżem trójramiennym greckim a przy jeziorze za wsią stoi skromny, lecz murowany monastyr czernic. Ich duszpasterz, pop z siwą brodą w wyszarzanej riasie, która pewnie niegdyś była czarną, jest podobny do pustelnika, jakiego się dziś jeszcze na scenie widzi. — Znana z piękności przyrody i przez Niemców latem licznie zwiedzana jest kraina wielkich jezior mazurskich, na których wygodne połączenie parowcami bardzo ułatwia podróż, a dalej na wschodzie, hen daleko za jeziorami wznosi się na urodzajnej glebie Łek czy Ełk, ostatnia stolica ziemi mazurskiej.

Nie braknie na Mazowszu piękności przyrody. Lecz rzeczą najważniejszą i najbardziej zajmującą jest zapoznać się z ludem mazurskim. Mazurzy pomimo że są portestantami, odznaczają się głęboką polską religijnością. Niestety właśnie ta różnica religijna wytworzyła wielką przepaść między nimi a innymi Polakami. Na mazurskich łanach też już od wieków wygasło staropolskie: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, a niestety nawet mazurski „Dobry dzen“ wypierają niemieckie pozdrowienia. Nawet dzieci małe, nieprzyzwyczajone jeszcze do łamania sobie języka obcą mową, witają przechodnia niemczyzną. Tego dokazała robota germanizacyjna nauczycieli i pastorów. Najważniejsze książki w domu Mazura to pismo św. i kancyonał. Pobożny lud mazurski też nie zadowalnia się małą liczbą protestanckich świąt. Między innemi n. p. Przemienienie Pańskie jest wielkiem świętem, i w parafiach, w których pastorzy tego święta nie zaprowadzili, protestanccy Mazurzy idą do katolickiego kościoła. Mazurzy wogóle nie czują antypatyi do katolicyzmu i czasem nawet udawają się do księży katolickich o radę i dawają na msze św. Nienawiść do katolicyzmu dopiero w najnowszych czasach wpajają przedewszystkiem nauczyciele w serca młodego pokolenia. Urzędowy kościół protestancki nie ma też u Mazurów tej powagi jak katolicki u naszego ludu. Na całej ziemi mazurskiej jest znaczna liczba sekt pietystycznych, oddalających się mniej lub więcej od kościoła urzędowego i jego przedstawicieli t. j. pastorów. Niestety też zabobony jeszcze dziś strasznie grasują na Mazowszu pruskiem. Bardzo rozszerzony jest np. „List niebieski, który sam Pan Bóg z nieba zesłał“, zawierający „zamówienia różnych chorób i dolegliwości złych“, „wieczną wróżbę powietrza na cały rok“, spis „nieszczęśliwych dni“ w których nic ważniejszego nie trzeba przedsięwziąć“ etc.

Inną niezbyt pochlebną właściwością Mazurów jest pijaństwo. Łyk dobrej wódki ułatwia i uprzyjemnia podróż mianowicie zimą, bo na Mazowszu jest komunikacya często bardzo niewygodna. Wódka niestety pokrzepia Mazura także w pracy i rozwesela przy zabawie. Bez wódki Mazurzy żadnych ważniejszych interesów nie załatwiają. Chcąc się z Mazurem dobrze rozmówić, najlepiej iść z nim do karczmy. Przy wódce serce zacznie żywiej bić, głowa łatwiej pracuje i Mazur zacznie prawić jak sam pan ksiądz lub jego żona.



Z nad jezior mazurskich.

Też wybory nie odbywają się bez wódki i kandydaci do krzeseł poselskich częstują swych łaskawych słuchaczy i wyborców porządnie; tak zyska się często ich głosy. Kobiety mazurskie w piciu wódki mężczyznom prawie dorównują. Nic dziwnego więc, że często za głęboko do kieliszka zaglą-

dają i że na Mazowszu często widać pijane kobiety. Nawet już dzieciom daje się wódki na pokrzepienie a niemowlętom, żeby usnęły. Oprócz wódki waść Mazur lubi też bardzo śledzie. Gdy zjadł śledzia i wypił wódki, wtedy innych specyałów już sobie nie życzy. Śledź i wódka — to niejako narodowa dotychczasowa polityka narodowa w tej dzielnicy była jednem pasmem błędów. Redaktorzy nie byli odpowiedni na swe stanowisko lub nawet zupełnie zawiedli. Jedynym Polakiem, który jest znany Mazurom — przedewszystkiem w okręgu szczycieńskim — i który pozyskał ich sympatye, jest p. Zenon Le- dotychczas winno się nim zajmować. Należy wyrazić nadzieję, że znajdzie się znacznie większa liczba ludzi, którzyby się czynnie zajęli temi kresami, i znacznie szersze koła, któreby przynajmniej przez czytanie „Mazura“ i przez pisywanie artykułów do niego okazały, że żywo spółczują z opuszczo-



Chata mazurska.



Kanał w Rudczanach.

potrawa i narodowy napój Mazura. Niestety właśnie ta wódka wywiera bardzo ujemny wpływ na życie gospodarcze i jest jedną z głównych przeszkód, dla których Mazurzy nie dorabiają się. Gospodarstwo rolne na Mazowszu jest zacofane. Dlatego też lud polski z Prus królewskich mianowicie z Lubawskiego z powodu swej wyższości gospodarczej wypiera Mazurów tam gdzie z sobą sąsiadują. Przedewszystkiem w powiatach nidborskim i ostródzkim coraz więcej gospodarstw przechodzi w ręce ludu katolickiego. Wszelkie organizacye na Mazowszu tak ekonomiczne jak oświatowe są niemieckie i wrogie polszczyźnie. Dopiero w wrześniu bieżącego roku założono pierwszą polską instytucyę pod kierownictwem p. Labusza, t. j. Bank Mazurski w Szczytnie. Jakie będą jego losy, pokaże przyszłość.

Stosunki narodowe na Mazowszu są najsmutniejsze w całym zaborze pruskim. Już od 30 lat odzywały się głosy w prasie, że trzeba ratować Mazowsze pruskie, lecz do czynu przystąpiono dopiero w r. 1896, zakładając w Ełku „Gazetę Ludową“ i „Mazurską partyę ludową“. Z początku było powodzenie stosunkowo znaczne. Gdy się stosunki „Gazety Ludowej“ pogorszyły, przeniesiono ją do Szczytna i zwinięto ją w końcu zupełnie. Później „Goniec Mazurski“ ujrzał światło dzienne w Ostródzie, lecz po krótkim czasie pochowano go. Wreszcie w Szczytnie zaczął wychodzić „Mazur“, i w krótkiem swojem życiu już różne koleje przechodził, lecz wychodzi do dziś.

Ruch narodowy na Mazowszu znajduje się więc jeszcze w początkach, a wandowski. Należy się spodziewać, że po smutnych doświadczeniach, ci mężowie, którzy się Mazowszem pruskiem zajmują, i którym za tę ich pracę należy się uznanie, sprawę mazurską ostrożnie, lecz zarazem energicznie dalej poprowadzą. A praca tam bardzo trudna; bo poczucia narodowego lud mazurski nie ma. Tylko mały procent ludności abonuje „Mazura“, a wielka masa ludu jest zupełnie obojętną lub zastraszoną przez żandarmów, wójtów, nauczycieli i pastorów. „Pruskiego Przyjaciela ludu“, wydawanego przez zachowawców niemieckich z wyraźną tendencyą germanizacyjną, nauczyciele tysiącami rozdarowują między ludem. Polemika między nim a „Mazurem“ jest bardzo ostra i dlatego czasem niemiła, lecz jak się zdaje, konieczną i dla czytelników mazurskich zajmująca (Abonament „Mazura“ wynosi na poczcie 45 fen. kwartalnie). Największą bolączką na Mazowszu jest brak mężów, którzyby energicznie i wytrwale pracowali nad narodowem uświadomieniem ludu. Rodzima inteligencya jest zniemczona, i dlatego lud nie oprze się silnym wpływom germanizacyjnym jeźli rodacy z innych dzielnic mu nie dopomogą. Niestety artykuły w prasie dotychczas o uszy ogółu naszej inteligencyi odbiły się jak groch o ścianę. Nie posiadamy organizacyj, których celem byłoby ratowanie ludu naszego na zagrożonych kresach. Kilka jednostek zajmuje się Mazowszem. Lecz to nie wystarcza i nie dosyć na tem, że w Szczytnie wychodzi pisemko polskie. Jeźli chcemy, aby uświadomienie narodowe przeniknęło szerokie warstwy ludu mazurskiego, społeczeństwo więcej niż nym ludem mazurskim. Oprócz tego zwłaszcza młodzież nasza powinna więcej niż dotychczas urządzać wycieczki na Mazowsze. Niemcy bardzo licznie wybierają się latem na jeziora mazurskie. Warto gdy rozkwitła przyroda zaprasza do siebie, wędrować po Mazowszu z tobołkiem na plecach i z „kulasem“ w ręku, po części pieszo, częściowo koleją i parowcem. Czasem nas zabiera waść Mazur, jadący z miasta dwukolną „biedą“, lub czterokolną „kolasą“, lub też wozem drabiniastym. Tu się rozmawia z „gburem“, tam z parobkiem lub „białką“; raz zabiera nas waść Mazur „strasne dwa mile“, a innym razem chwali się, że jego lotne koniska w tym dniu już 4 mile zrobiły do miasta i teraz jeszcze 4 mile mają do domu. — Wrażenia z takiej podróży nie przeminą szybko i z pewnością niejeden, który odwiedził Mazowsze, też później zajmie się niem i zainteresuje dla niego swe koła towarzyskie.

Żeby więc nareszcie hasło: ratujmy kresy! przestało być dźwiękiem, rzucanym na wiatr, i żeby przekształciło się w znacznie więcej ludzi niż dotychczas na czynną pomoc i pracę dla kresów; bo nie wolno dopuścić do tego, aby setki tysięcy Mazurów bez poparcia rodaków zginęły w morzu niemieckiem i żeby niczem nienasycona zachłanność pruska coraz nowe dzielnice odrywała od Słowiańszczyzny.

Nie tumanić szumnie, krasno,
Ale twardo, ale jasno,
Wśród narodu swego stać,
Wozrem służyć, myślą rwać,
Świecić czynu tarczą własną.

Juliusz Słowacki.



Na widowni.

Według wyniku ośmiu zebrań wyborczych odbytych ubiegłej niedzieli w różnych miejscowościach okręgu wyborczego śremsko-średzko-wrzesińskiego, na których wszędzie bezspornie przeszła na pierwszem miejscu kandydatura p. mecenasa Trąmpczyńskiego, należy uważać sprawę następstwa po p. Drze Henryku Szumanie za załatwioną. Okręg ten należy do okręgów dla nas pewnych, zatem niebawem p. mecenas Trąmpczyński zajmie krzesło poselskie w izbie sejmowej.

Po burzliwych zajściach towarzyszących wyborom poznańskim, już druga nominacya kandydatów poselskich odbywa się w przykładnej zgodzie i niczem nie zakłóconym pokoju. Snać nie trudno się u nas załatwiają te sprawy, byle tylko ze wszech stron dobra, a nieprzymuszana ujawniała się wola, a co najważniejsze, byle osoby kandydatów były odpowiednie i powszechnem cieszące się uznaniem i zaufaniem. Miejmy nadzieję, że przebieg ostatnich wyborów, gdy chodziło o posła p. Morawskiego, i obecnej akcyi przedwyborczej cenną będzie dla społeczeństwa na przyszłość wskazówką.

Pod koniec zeszłego tygodnia ciekawe się w parlamencie toczyły debaty. Chodziło o znaną królewiecką mowę cesarza Wilhelma II., w której to cesarz taki nacisk kładł na to, że jest królem z Bożej łaski. Mowa ta — jak wiadoma — głośnem echem odezwała się w prasie niemieckiej, obecnie stała się przedmiotem roztrząsań w parlamencie na skutek interpelacyi socyalistycznej.

Interpelacyę uzasadniał socyalista Ledebour nie szczędząc enuncyacyi cesarskiej ostrej krytyki i domagając się na koniec zdemokratyzowania parlamentu i całego życia konstytucyjnego. Na mowę Ledeboura odpowiedział kanclerz. Pan Bethmann-Hollweg nie poszedł śladami swego poprzednika na stołku kanclerskim, którego zbyt słaba obrona wystąpień cesarza pozbawiła łaski najwyższej, lecz bardzo energicznie stanął w obronie stanowiska cesarza usiłując osłabić wrażenie wywodów Ledeboura. W przeciwieństwie do Ledeboura dowodził kanclerz, że cesarz mową swą królewiecką bynajmniej nie złamał danego narodowi po interpelacyi w sprawie odkryć „Daily Telegraphu“ przyrzeczenia i w niczem nie przekroczył granic wyznaczonych mu przez konstytucyę. Socyalistom zaś zarzucał kanclerz, że atakują cesarza nie dla tego, żeby się obawiali o zgwałcenie konstytucyi, lecz dla tego że nienawidzą obecnego ustroju państwowego i dążą do obalenia monarchii i wzniesienia na jej miejscu republiki. Jak wiadoma ma być przyszłe państwo socyalistyczne republiką i z dążeń republikańskich Ledebour w swej mowie, nie robił tajemnicy. Wywody kanclerza popierali mniej lub więcej centrowiec baron Hertling, przywódzca konserwatystów p. Heydebrand v. der Lasa, narodowy liberał Bassermann, wolnokonserwatysta Dircksen i antysemita Liebermann. Po stronie socyalistów stanął tylko wolnomyślny poseł Payer. Mówca utrzymywał, że to, co cesarz powiedział o swem stanowisku państwowo-prawnem, nie zgadza się z konstytucyą rzeszy i dowodził, że cesarz posiada swą godność nie „z Bożej łaski“, lecz otrzymał ją od książąt rzeszy, przeto sądzi mówca, że kanclerz przypomni cesarzowi to, co po interpelacyi wywołanej sprawą „Daily Telegraph'u“ przed dwoma laty przez usta księcia Buelowa obiecał.

Z polskich posłów nikt w sprawie tej głosu nie zabrał. Chodziło przecież o sprawę nie mającą dla nas głębszego znaczenia, rozsądzenie której należy pozostawić Niemcom.

Ponieważ interpelacye w parlamencie niemieckim nie bywają zakończone żadną obowiązującą uchwałą, przeto tylko z przebiegu obrad można wyciągnąć wnioski, co do sentymentu reprezentacyi narodowej. Ten zaś tym razem był po stronie cesarza.



Głosy od przyjaciół.

Wielki koncert ludowy ku czci Szopena.

Lwów, 26. XI. 1910.

Jeśli wielki duch Szopena — taki prawdziwie nasz, tak rdzennie polską tęsknotą owiany, jego duch — zamarzył kędyś w przepastnych krainach — o zbliżeniu swej wielkiej umiłowanej muzyki tam — skąd ona wyszła, do ziemi macierzystej, do wsi rodzinnej, do tego rozśpiewanego, roztęsknionego, do tego całą duszą Polskę tworzącego ludu — to stało się to — we Lwowie w dniu 30 z. m. w wielkiej świątecznej, jak barwnemi makami i habrami, kraśnemi chustkami i wstęgami i kapotami wiejskiego ludu — przybranej sali, gmachu skarbkowskiego.

Piękne to było i długo niezapomniane widowisko. Na scenie wieniec hożych, rozśpiewanych o tem „słoneczku na niebie“ dziewczyn i tych najmniejszych polnych kwiatuszków, — które po odśpiewaniu piosenki same sobie rączymami biły oklaski! — Grupa dziarskich o czerwonych z pawiem piórkiem czapkach — muzykantów, po całej sali —od dołu — aż hen tam uczepione góry, jak stada jaskółek — z rozciekawionemi oczyma, wzniesione i pochylone głowy kobiet, poważnych gospodarzy, robotników i pracownic wszelkiego rodzaju miejskich, a wśród tego — i ponad tem — drżące, nieuchwytne, a głęboko zapadające w dusze i serca tony — tej cudnej szopenowskiej muzyki.

O dzięki niech będą za tę wielką biesiadę wszystkim, którzy ją ludowi i narodowi całemu podali — i do podania się jej przyczynili. Przekonaliśmy się — jak tego rodzaju próby wypadają, jak entuzyazmują nawet tych, którzy sceptycznem okiem na zamierzone usiłowania z początku patrzyli.

Program obejmował występy orkiestry włościańskiej z Chłopów—Komarna, która odegrała na wstępie: Preludyum Szopena i dwa mazurki, następnie pieśń chórów włościańskich z Prus i Dublan, potem rzewną deklamacyę cudnego wiersza Konopnickiej: „Pamięci Szopena“ dziewczyny wiejskiej z pod Łańcuta, dalej prelekcye prof. Wallera, następnie cudowną grę Henryka Melcera, który hojnie i ponad program darzył oczarowanych słuchaczów. Wspaniała deklamacya „Fortepian Norwida“ Wandy Siemaszkowej znów wywołała burzę oklasków i nadprogramowe dodatki, a potem znów pieśni chórów włościańskich z Prus i Sokolnik, w niebo idące głosy z pól i chat wiejskich i orkiestra włościańska z Chłopów — Komarna, która szeregiem narodowych pieśni zakończyła uroczystość.

Owacya dla Paderewskiego odbyła się przed hotelem Żorża na placu Maryackim. Barwnym do tysiąca osób liczącym pochodem, szli tam włościanie prowadzeni przez komitet redakcyi „Zorzy ojczystej“, Związku chórów i teatrów włościańskich—szli z muzyką i z wspaniałym z kłosów uwitym i wstęgami przeplatanym wieńcem, niesionym przez dziewczęta. W westibulu hotelu przyjął wielki mistrz deputacyę, a wzruszony do głębi tulił i całował wraz z małżonką swą, płowe główki dziew-

cząteк i ściskał dłonie wszystkich, dziękując całemu komitetowi za tę serdeczną, niespodzianą owacyę. Następnie ukazał się na balkonie hotelu, a serdeczne okrzyki na cześć jego wzniesione i tony pieśni: „Jeszcze nie zginęła“ i Bartoszowej piosenki — długo zatrzymały jego pochylającą się raz w raz w ukłonach postać na balkonie hotelu.

Niezapomniana ta manifestacya, jaką stał się wielki koncert ludowy, urządzony staraniem Redakcyi „Zorzy ojczystej“ — ze współudziałem „Związku chórów i teatrów włościańskich“ we Lwowie“ — pozostanie na długo w pamięci widzów i słuchaczów.

A. A.

Wiadomości.

— Tylko stałą i wytrwałą agitacyą można rozpowszechnić gazetę, dla tego prosimy Szanownych Czytelników naszych, aby przy każdej sposobności zachęcali sąsiadów i znajomych do zapisywania sobie „Pracy.“ „Praca“ jest najodpowiedniejszem i najtańszem dla rodzin wszelkich stanów illustrowanem pismem tygodniowem.

„Pracę“ teraz zapisać można na poczcie na miesiąc grudzień. Przedpłata wynosi 50 fenigów.

— Przy grach, zabawach, przy uroczystościach publicznych i podczas zebrań towarzyskich — wszędzie i zawsze pamiętajmy o składkach, choćby groszowych, na Dar Grunwaldzki dla Towarzystwa Czytelni ludowej.

Datki na cel powyższy przyjmujemy w dalszym ciągu.

Na cel powyższy nadesłał na fundusz czytelników „Pracy“ p. K. Śmigielski z Chabska 20 fen.

— **Z Prowincyonalnego Komitetu Wyborczego.** Podręcznik w sprawach wyborczych, z uwzględnieniem odnośnych przepisów, wydanych dla Prus i Rzeszy niemieckiej, jako też z przytoczeniem formularzy do wniosków i zażaleń, opuści w tych dniach prasę. Wskutek tego w przyszłym już tygodniu przystąpić będzie można do przesyłek. Dotychczas nadesłały zamówienia na tę publikacyę następujące powiaty: Gniezno, Koźmin, Gostyń, Mogilno, Ostrów, Śmigiel, Wyrzysk, Strzelno, Oborniki, Babimost, Rawicz, Żnin, Szubin, Śrem, Jarocin, Szamotuły, Września i Kępno. Inne powiaty zalegają jeszcze z zamówieniami. Uprasza się przeto o przyspieszenie decyzyi, aby przesyłki od razu uskutecznić można.

— **Walne zebranie Towarzystwa Czytelni Ludowych** odbędzie się 1) dla miasta Buku i okolicy **w Buku** w niedzielę 4-go grudnia b. r. o 5-tej godzinie po poł. na sali p. Knechtla. 2) dla Grodziska i okolicy **w Grodzisku** w niedzielę 11-go grudnia b. r. o pół do 5-tej po poł. na sali p. Węclewicza. O liczny udział członków jak i zwolenników T. C. L. uprasza

Komitet powiatowy T. C. L.

— **Z nadesłanego nam sprawozdania Korporacyi Kupców Chrześciańskich w Poznaniu za rok 1909/10** notujemy znamienny fakt utworzenia wydziału ekonomicznego.

„Wydział ekonomiczny Korporacyi Kupców Chrześciańskich — czytamy w sprawozdaniu — postanowił sobie jasny program. Część tegoż dotyczy zadań teoretycznych, druga część praktycznych.

Na 17 zebraniach, począwszy od 28-go stycznia 1910 rozpatrywali członkowie wydziałowi poszczególne punkty programu, a poza zebraniami odrabiano wskazane uchwałami Wydziału prace.

Najżywotniejszym tematem, bo omawianym na 12-tu zebraniach i szczegółowo przez komisye załatwianym było założenie **Fabryki bielizny.** Specyalna komisya opracowała kalkulacyę, z której wynikało, że fabrykę bielizny należy nie tylko założyć, ale że dla fabryki tej istnieją bezwarunkowo wszelkie warunki rozwoju. Tę kalkulacyę ścisłą poprzedziły badania osobnej komisyi, która w Berlinie zbadała dokładnie stosunki i wydziałowi zdała referat i koreferat. Sprawą fabryki bielizny zainteresował wydział przedewszystkiem kupców bławatników. Wszyscy oni uznają potrzebę założenia fabryki i znaczny zastęp bławatników już podpisał deklaracye przystąpienia do wspólnictwa. Że zaś sami bławatnicy z natury rzeczy dziś jeszcze nie są tak zasobni, aby złożyć 100,000 marek na toż przedsiębiorstwo, więc wydział odezwał się z gorącym apelem do zamożniejszych sfer społeczeństwa o pieniężny współudział. Mamy nadzieję, że apel odniesie pożądany skutek, i że z początkiem roku 1911 przystąpimy do założenia fabryki. Wydział czuje się zespolonym z całem społeczeństwem w tej myśli, że uprzemysłowienie kraju jest jedną z najważniejszych dźwigni naszych, i że przedewszystkiem nasze zasobniejsze kupiectwo weźmie w przedsiębiorstwie nowem liczny udział pieniężny. Będzie to widomy znak solidaryzowania się świętego kupiectwa, celem urzeczywistnienia dążeń Korporacyi na polu ekonomicznem i znak budzenia się organicznej pracy. Zadaniem Korporacyi musi być jak najszersze i rzetelne popieranie wspólnemi siłami wszystkiego, co do rozwoju naszego większego handlu i przemysłu jest potrzebnem.

Nie możemy milczeniem pominąć życzliwości naszej prasy, z jaką się odnosi do przyszłej fabryki bielizny i wyrażamy jej wdzięczność za ochoczą propagandę.“

Pogadanek odbyła Korporacya w roku sprawozdawczym włącznie walnych zebrań 16, posiedzeń Zarządu 10.

Towarzystwo uczni handlowych będące pod Kuratoryum Korporacyi rozwija się pomyślnie i liczy 90 członków.

Liczba członków Korporacyi, wynosząca w 1908/9 r. 110, wzmogła się na 123 w roku obrachunkowym.

— Z nadesłanego nam sprawozdania z działalności Towarzystwa Opieki nad dziećmi katolickiemi w Poznaniu za rok obrachunkowy od 1-go października 1909 do 30-go września 1910 wyjmujemy następujące dane:

Towarzystwo założone 1905 r., które było przez dwa lata sekcyą Związku Towarzystw Dobroczynnych, usamodzielniło się na mocy uchwały Nadzwyczajnego Walnego Zebrania z dnia 11-go marca r. b.

Jak Zarząd przewidywał, zaczął się od tego czasu rozkwit naszego Towarzystwa. Dowodem na to są następujące dane statystyczne:

Liczba członków, która w roku ubiegłym wynosiła 50, wzrosła na 150.

Dochody powiększyły się prawie pięciokrotnie, gdy bowiem w roku zeszłym było 1755 marek dochodu, to zebraliśmy w tym roku 8388 marek:

Mając większe dochody, było Towarzystwo w możności umieścić więcej dzieci, przez co naturalnie i rozchody znacznie się powiększyły.

W roku ubiegłym umieszczono **62 dzieci,** w tym zaś roku **134,** z których 39 w zakładach u Sióstr umieściliśmy.

Od początku istnienia Towarzystwa umieszczono w ogóle **294** dzieci. Na opiece na ten rok pozostaje **170** dzieci i to **119** u gospodarzy lub po małych miastach, a **51** w zakładach sierót w Gnieźnie, Pleszewie, Ostrowie, Wronkach, Wolsztynie i na Śródce. — Niemowlęta w braku zakładów umieszczamy u osób prywatnych.

Towarzystwo płaci 4062 marek rocznie za dzieci w zakładach i za wyżywienie i opiekę niemowląt.

Z umieszczonych dzieci pochodzi: 105 z Poznania, 13 z Bydgoszczy, 1 z Piły, 1 z Główny, 1 z Wioski (powiat Babimojski), 1 z Żabikowa, 1 z Śremu, 3 z Warszawy, 3 z Brudni p. Inowrocławiem, 2 z Krotoszyna, 1 z Łopienna, 1 z Kobylina.

Liczba dzieci moralnie zaniedbanych wzrasta w zastraszający sposób i dlatego zniewoleni byliśmy tak wielką liczbę umieścić po zakładach.

Wielkiej doniosłości dla Towarzystwa jest uznanie sądu opiekuńczego, który nam zarazem powierza opiekuństwo dzieci umieszczonych.

Przejściowo, aż do umieszczenia stałego, utrzymywało Towarzystwo 48 dzieci przez **256** dni za opłatą. Coraz widoczniej więc okazuje się potrzeba stacyi przejściowej.

Członkowie Zarządu zmieniali się kolejno co miesiąc, aby sekretarce być pomocnymi w sprawach biura i opieki.

Dalszy rozwój Towarzystwa zależy głównie od dobroczynności społeczeństwa. Im więcej bowiem Towarzystwo mieć będzie funduszy, tem więcej będzie mogło od zepsucia uratować nieszczęśliwej dziatwy, opuszczonej dla sieroctwa, wynędzniałej dla biedy, albo moralnie zaniedbanej z winy rodziców lub otoczenia. To, co Towarzystwo zdołało dotąd z wielkim trudem zdziałać, jest tylko małą cząstką pracy wobec tysięcy dzieci naszych, ratunku potrzebujących.

Błagamy przeto w imieniu tej dziatwy, przedewszystkiem członków Towarzystwa opieki, aby raczyli znajomym zwracać uwagę na doniosłość Towarzystwa naszego, aby przez to przyczynili się do utrwalenia i rozszerzenia pracy tak ważnej na polu społecznem.

Przypominamy uprzejmie, że składka roczna Towarzystwa opieki nad dziećmi wynosi 2 mrk. lub więcej.

Członkiem dożywotnim zostaje, kto jednorazowo wpłaci 100 marek.

Równocześnie prosimy usilnie opiekunów i osoby dobrej woli, aby w razie dowiedzenia się o sierotach, dzieciach zaniedbanych lub moralnie zagrożonych zgłaszali się do **biura Towarzystwa opieki nad dziećmi katolickiemi przy ulicy Wilhelmowskiej 16, I. w Poznaniu.**

Pelagia Biegańska, sekretarka.

— **Ze sprzedaży kart gratulacyjnych i kondolencyjnych,** zastępujących telegramy, wpłynęły w dalszym ciągu do kasy za pośrednictwem skarbnika p. Czecha Kusztelana 94 mrk. 55 fen.

Nekrologia.

† Ś. p. ks. Jan Zielmiński, proboszcz grążawski, zmarł dnia 26-go z. m. w Grążawach w Prusach Zach., w 47-mym roku życia, a 20-tym kapłaństwa. — Ś. p. ks. Stanisław Waliński, neopresbyter, Salezyanin, o którego prymicyach donosiliśmy niedawno w „Pracy,“ (Patrz: „Z bieżącej chwili“ w nr. 41-szym na stronie 1293-ciej) umarł dnia 28-go z. m. w Białym Piątkowie pod Miłosławiem w 26-tym roku życia. Pogrzeb odbył się w Winnogórze dnia 1-go b. m. — Ś. p. Józefa z Kucnerów Kolanowska, dnia 22-go z. m. w Poznaniu. — Ś. p. Piotr Nyka, dnia 23-go z. m. w Rogowie. — Ś. p. Tadeusz Zaremba-Jaraczewski, stud. politechniki, dnia 24-go z. m. w Bydgoszczy, w 24-tym roku życia. — Ś. p. Stanisław Appelt, dnia 25-go z. m. w Głuchowie pod Poznaniem, przeżywszy lat 67 Pogrzeb odbył się w Komornikach dnia 28-go z. m. — Ś. p. Antonina Zulska, dnia 24-go z. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 54. — Ś. p. Antoni Niklewski, obywatel, dnia 23-go z. m. w Rajkowach w Prusach Zach. w 49-tym roku życia. — Ś. p. Maryanna Ziętek, dnia 24-go z. m. w Gnieźnie, przeżywszy lat 27. — Ś. p. Wojciech Głowacki, dnia 26-go z. m. w Inowrocławiu, przeżywszy lat 73. — Ś. p. Telesfor Piernik, dnia 24-go z. m. w Inowrocławiu, przeżywszy lat 25. — Ś. p. z Przybylskich Franciszka Grylewicz, dnia 26-go z. m. w Berlinie. — Ś. p. Łucya Kaliska, dnia 27-go z. m. w Turzanach, przeżywszy lat 69. Pogrzeb odbył się w Inowrocławiu dnia 30-go z. m. — Ś. p. Stanisława Kurc, dnia 26-go z. m. w Poznaniu w podeszłym wieku. — Ś. p. Stefan Grycz, dnia 26-go z. m. w Chomęcicach pod Konarzewem, w 34-tym roku życia. — Ś. p. Kazimierz Chojnacki, znany obywatel poznański, dnia 24-go z. m. w Poznaniu w 70-tym roku życia. — Ś. p. Aniela z Freudenreichów Cynkowa, dnia 26-go z. m. w Poznaniu. — Ś. p. Józefa z Cieślików Szynk, dnia 26-go z. m. w Poznaniu, przeżywszy 44 lata. — Ś. p. Eufrozyna z Chudzickich Winiecka, dnia 25-go z. m. w Poznaniu. — Ś. p. Jadwiga z Nawrockich Szynkarkowa, dnia 28-go z. m. w Poznaniu w 36-tym roku życia. — Ś. p. Stanisław Goralski, dnia 27-go z. m. w Poznaniu w 34-tym roku życia. — Ś. p. Karolina Joel, dnia 29-go z. m. w Inowrocławiu, licząc lat 72. — Ś. p. Karol Heisig, dawniejszy mistrz rzeźnicki, dnia 25-go z. m. w Poznaniu w 82-gim roku życia. — R. i. p.

Od Redakcyi.

— **Panu Janowi S. na obczyźnie.** — Za słowa uznania dla „Pracy“ dziękujemy.

— **Pani Jadwidze K. w W.** — Prawda święta, że

Boga ludzie się nie boją
I gorzałką wciąż się poją,

ale wierszyk nie nadaje się do zamieszczenia w „Pracy.“ Dziękujemy za pamięć.

— **Czytelniczce na prowincyi.** — A cóż to nas i czytelników naszych obchodzić może, że sąsiadka Pani jest „gruba jak prochownia.“ Do kosza!

— **Panu Stanisławowi S. w Berlinie.** — Pismo to przestało już od dwóch lat wychodzić.

— **Panu Wincentemu B. na obczyźnie.** — Szarada, wyraz pochodzący z francuskiego, znaczy tyle co zagadka zgłoskowa.

— **Panu Andrzejowi S. w W.** — Dziękujemy za łaskawą pamięć, ale z powodu nawału materyału już do druku przeznaczonego, artykułu Szan. Pana nie możemy zamieścić.

Nowe książki i treść pism.

— **„Filarety“ Miesięcznika kulturalnego młodzieży** opuścił prasę zeszyt okazowy i zawiera treść następującą:

Od Redakcyi. — K. J. K.: Śp. ks. Piotr Wawrzyniak. — K. Lubecki: Pieśń o królowej Jadwidze. — Fr. Poświetnik: Mazowsze pruskie. — H. Krzymuska (Theresita): Podzwonne. — Tenebreuse: W noc letnią. — Ks. K. J. Kantak Zebranie publiczne Tow. Przyj. Nauk. — Sprawozdania: T. Zegarski: Polen und das Basler Konzil. — Dr. A. Chybiński: Materyały do dziejów król. kapeli rorantystów. — F. W. Foerster: Drogowskaz życia. — Kronika. — Od Redakcyi.

Po zeszyty okazowe, które wysyła się na żądanie bezpłatnie, należy się zgłaszać do Redakcyi „Filarety“ Poznań, ul. Rycerska 38.

„Przeglądu Wielkopolskiego“ ukazał się okazowy zeszyt i zawiera następującą treść: Genesis przez Ery. — Credo przez Revera. — Początki pruskiej kolonizacyi przez St. K. — Z wrażeń polskiego filozofa w Paryżu przez Kaz. F. Wizego. — Rozstanie przez J. D. — Z dziedziny kultury przez Henryka Nostitz-Jackowskiego. — Aforyzmy. — Na marginesie przez dr. Adama Pfieynia. — Ogłoszenia.

Ekspedycya i administracya „Przeglądu Wielkopolskiego“ Poznań, ul. Posadowsky'ego 39 (Posen, Posadowskystr. 39). Redakcya ul. Dolna Wałowa 1. (Biuro Związku Narodowego).

— **Swojska firma Pilczek i Putiatycki** w Poznaniu, największy zakład litograficzny, wydała znowu **dwa albumy: „Gospodarstwo“ i „Rolnictwo.“** Na każdy album składa się sześć pięknie kolorowanych obrazów z stósownemi wierszykami, nawołującemi do miłości ziemi ojczystej i wypełniania hasła: „Swój do swego!“ Albumy te, zwłaszcza na zbliżającą się gwiazdkę, nie tylko najpożyteczniejszym dla dzieci, ale i dla dorosłych miłym podarkiem być mogą. W każdym domu polskim, winny one być ozdobą stołu lub biblioteczki. Cena stosunkowo do ich wykonania jest bardzo niska, bowiem każdy oddzielny album kosztuje tylko 30 fen., z przesyłką 40 fen. Zarazem przypominamy Szan. Czytelnikom albumy „Zwyczaje polskie“ i „Tańce polskie,“ wydane również przez pp. Pilczka i Putiatyckiego, które jeszcze nabywać można po 30 fen., z przesyłką 40 fen w każdej księgarni, albo w większym składzie papieru.

Reklamy.

— **Gramofony.** Zwracamy uwagę na anons p. Z. Śniegockiego, który na sezon bogato zaopatrzył swój skład w gramofony najsłynniejszej fabryki w Niemczech „Mamut.“ Pan Śniegocki zawarł z powyższą fabryką bardzo korzystną umowę na wielką ilość gramofonów, przez co uzyskał bardzo znaczną zniżkę w cenach, z powodu tego jest w możności dobre gramofony po bardzo tanich cenach sprzedawać. O wielkiej doniosłości gramofonów nie potrzeba się już dzisiaj szeroko rozwodzić, gdyż każdemu wiadomo, że jest to instrument, który najzupełniej zastąpi wszelkie instrumenty muzyczne, i wielką przysługę oddaje w życiu towarzyskiem. Zabawia on nie tylko starszych, ale przedewszystkiem u dzieci wyrabia słuch, wzbudza zamiłowanie do muzyki, kształci je w śpiewie i w sztuce muzyki. Gramofony są najstósowniejszemi podarkami gwiazdkowemi. W „Camerze“ p. Z. Śniegockiego można każdego czasu bez jakichkolwiek zobowiązań przekonać się o doskonałości jego gramofonów.

— **Zwracamy uwagę na dołączony katalog księgarni A. Cybulskiego.**

Katalog nie jest jedynie suchym spisem, lecz umiejętnie i systematycznie zestawionym wyborem pewnej części dzieł stale znajdujących się na składzie, z wszelkich gałęzi wiedzy. To też dla samouków stanowi niejako podręcznik, wskazując co czytać, co wiedzieć należy. Każdy znajdzie w nim coś odpowiedniego dla siebie, gdyż zawiera bogaty wybór w każdej dziedzinie począwszy od książek dla naszych najmniejszych, aż do dzieł naukowych i zawodowych, od tanich ludowych aż po najwykwintniejsze wydawnictwa. Nie brak w nim nawet działu utworów muzycznych, jak n. p. utworów kolendowych — tak bardzo będących teraz na czasie. Mówiąc o muzyce, zwracamy uwagę na wydane przez tę księgarnię w 5-ciu zeszytach pod nazwą „Hej od ucha“ piękne utwory ludowe, opracowane na skrzypce przez Ad. Wrońskiego, jak również zbiór kujawiaków Rekowskiej — „Oj da dana.“ Oprócz tego księgarnia pochlubić się może całym szeregiem zasługujących na poparcie wydawnictw ludowych i z naszej przeszłości dziejowej, jak Dziryta, Milewskiej, i Miłkowskiego, przepiękną hist. polską wierszem J. T. z za Buga, 1000 lat pieśni z przeszłości, które porównują z sławnymi śpiewami hist. Niemcewicza, oraz poważnem dzisiaj już zbiorem sztuk teatralnych z muzyką i śpiewami pod ogólną nazwą „Naród sobie,“ który z rokiem każdym obszerniejszy o kilka numerów. Na zbiór ten zwracamy szczególnie uwagę naszych towarzystw, gdyż znajdą tam rzeczy dobrych autorów, zawsze z powodzeniem grane, i piękną, a nietrudną muzykę do każdej śpiewki. Z drugiej strony wydawnictwo to zaleca się piękną formą zewnętrzną, starannem wydaniem i nizkiemi cenami. Jako główną zasługę księgarni poczytać należy wydanie — bodaj czy nie pierwszego w dzielnicy naszej elementarza t. zw. „z aniołkiem,“ któremu setki tysięcy dzieci naszych znajomość języka ojczystego zawdzięczają.

Nakoniec donosimy, że w najbliższym czasie księgarnia przeniesie się do nowych ubikacyj w tym samym domu, które obecnie przygotowują, gdyż dotychczasowe za małe.

Wystawa gwiazdkowa znajduje się wewnątrz księgarni.

Nadesłane.

— **W magazynie** znanej powszechnie **firmy Hasse i Spółka** w Poznaniu przy placu Wilhelmowskim 4. odbywa się obecnie wielka sprzedaż gwiazdkowa po cenach nadzwyczaj zniżonych. Zwłaszcza materye na suknie i bluzki, konfekcyę damską, paletoty futrzane, bieliznę i stołowiznę nabyć można nadzwyczaj tanio. Na okna wystawowe magazynu, zawsze z gustem dekorowane, zwraca się uwagę szan. Czytelniczek.



Z estrady i sceny.

Z teatru.

„Faust“ Karola Gounoda.

Karol Gounod należy do wybitniejszych kompozytorów zeszłego wieku.

Urodzony r. 1818 w Paryżu, zdobywa r. 1839 wielką nagrodę kompozytorską i udaje się do Rzymu, gdzie studyuje starą muzykę kościelną. R. 1843 wraca do Paryża, gdzie przez 6 lat piastuje posadę dyrektora muzyki przy tamecznym kościele Misyj zagranicznych. Na stanowisku tem odznacza się jako znakomity dyrygent i zdobywa sławę swą „Mszą solenną“. Równocześnie próbuje sił na polu kompozycyi operowej. Lecz dopiero „Faust“ jego, który pojawił się r. 1859, zdobył większe powodzenie i utrzymał się na repertuarze. Z późniejszych jego oper „Romeo i Julieta“ (1867 r.) zasługuje na wyróżnienie. Mniejsze powodzenie miały jego oratorya. Natomiast wielkiem uznaniem cieszyły się jego pomniejsze dzieła muzyczne, szczególnie zaś jako kompozytor pieśni zdobył sobie Gounod zaszczytne imię.

Jako najlepsze dzieło jego uchodzi „Faust“, opera, którą zeszłego piątku poraz pierwszy ujrzeliśmy na naszej scenie.

Przedstawienie na ogół prezentowało się bardzo ładnie i możnaby pisać o niem ze zupełnem uznaniem, gdybyśmy mieli dla partyi Fausta odpowiedniego przedstawiciela. Pan Hayek, który tę partyę objął, zawiódł niestety wszelkie oczekiwania. Już zewnętrznie postać jego Fausta wyzywała najdosadniejszą krytykę. Są postaci, które w wyobraźni naszej mają wyrobione prawo obywatelstwa. Taki Faust, Mefistofel, Małgorzata — to typy zbyt ustalone w fantazyi naszej, aby nie razić miał artysta pozwalający sobie wystąpić w masce zupełnie odmiennej od tej, jaką ujrzeć się spodziewamy. A to właśnie uczynił p. Hayek, ukazując się zdumionym oczom publiczności we własnej swej osobie, nie zadawszy sobie najmniejszej fatygi z charakteryzacyą. I gdyby jeszcze ten niedostatek był nagrodził śpiewem porywającym lub grą mistrzowską. Ale i pod tym względem niestety słuszne mamy żale. Wokalnie p. Hayek bynajmniej nie stanął na wyżynie zadania, a pod względem aktorskim zawiódł nawet te skromne oczekiwania, jakie w pobłażliwości naszej względem niego żywiliśmy.

Na szczęście inne partye w odpowiedniejszych spoczywały rękach.

Znakomitą reprezentantkę znalazła postać Małgorzaty w osobie panny Hendrychówny. Tak pod względem wokalnym jak i aktorskim była artystka zupełnie bez zarzutu, takie zaś szczegóły jak arya z brylantami tudzież jej gra szlachetna przy umierającym bracie stanowią tytuł do najgorętszego uznania. Również p. Szeller jako Mefistofel nader pięknie wywiązał się z zadania. Wspaniały bas jego jaśniał w całej swej niezwykłej sile i piękności, a także gra jego, aczkolwiek bynajmniej jeszcze nie zupełnie wykończona, przedstawiała się bardzo dodatnio. Nader trudna arya w drugim akcie wypadła znakomicie, to samo należy powiedzieć o scenie z Małgorzatą przed kościołem. Także dla serenady mamy wszelkie uznanie i życzylibyśmy tylko, by śmiech Mefistofela w jeszcze silniejsze uzbroił się akcenty szydercze.

Małą, lecz efektowną partyę Sybla objęła p. Marynowiczówna. Młoda artystka, aczkolwiek nie obyta jeszcze ze sceną, posiada wszakże dużo niewymuszonego wdzięku, wskutek czego prezentowała się dobrze. Śpiew jej także do nagany nie dawał powodu, owszem, arya z kwiatami odśpiewana była poprawnie, niewielkim, lecz miło w ucho wpadającym głosem. Szkoda tylko, że głos jej ku górze zbyt jeszcze jest ograniczony.

Martą była p. Karska-Lenartowicz, stanowczo lepsza aktorka niż śpiewaczka. Wagnerem poprawnym był p. Fotygo. Także inne role stosownych znalazły reprezentantów. Wprost znakomite były chóry, chluba wytrawnego kapelmistrza opery p. Lehrera, któremu najgorętsze należy się uznanie za jego umiejętną i tyle owocną pracę. Państwo Faliszewscy jak zwykle gorące zbierali oklaski.

Publiczność dopisała.

O mało bylibyśmy zapomnieli poświęcić kilka słów uznania p. Kopczyńskiemu, który w roli Walentego uszczknął listek wawrzynu, mianowicie w efektownej scenie śmierci. Tam gra jego wielkie i szczere miała powodzenie. Szkoda, że śpiew jego nie znalazł się na poziomie podobnie wysokim.

R.

* * *

Wieczór Konopnickiej

urządzony we wtorek w teatrze za inicyatywą Tow. Dziennikarzy i Literatów liczną zgromadził publiczność.

Punktem kulminacyjnym wieczoru był piękny odczyt p. dra Gantkowskiego, który w podniosłych słowach wielbił twórczość zmarłej niedawno największej poetki polskiej i największej kraju ojczystego i ludu polskiego miłośniczki.

Szereg wokalnych i deklamacyjnych produkcyj wykonanych przez artystki i artystów teatru naszego uświetnił podniosły obchód. Na zakończenie dano Nowaczyńskiego „Miłosierdzie ludzkie,“ dramat w jednym akcie osnuty na noweli Maryi Konopnickiej. Dramat ten ze sztuką prawdziwą mało ma wspólnego. Jest to zbyt brutalna reprodukcya rzeczywistości, by mogła u widza inne zbudzić uczucia niż wstręt i oburzenie. Rzecz była grana znakomicie. Główne role objęli pp. Bogusiński, Andruszewski i Czerniak i wywiązali się z zadania pod każdym względem pięknie.

* * *

Obchód Szopenowski.

W środę urządziła „Lutnia“ na wielkiej sali Lamberta wspaniały obchód Szopenowski, wspaniały, bo postarała się o współudział takiej siły jak Raul Koczalski i o prelegenta tej miary, co Henryk Opieński. Publiczność niestety nie dopisała. Zaledwie dobra połowa sali była zapełniona. Za to ci, którzy przybyli na obchód, z niemal bezprzykładnym w Poznaniu zapałem oklaskiwali znakomitych gości.

Żałujemy szczerze, że szczupłe miejsce, które nam pozostało w „Pracy“, nie pozwala na bardziej szczegółową ocenę sztuki Koczalskiego. Powiemy tylko, że poznaliśmy w artyście wytwornego, subtelnego muzyka, który rezygnuje z wszelkich efektów wirtuozowskich, a daje czystą sztukę w najszlachetniejszej, jaka się da pomyśleć formie. Program zawierał wyłącznie tylko kompozycye szopenowskie oddane przez znakomitego artystę z niezrównaną maestryą. Zbyteczne byłoby dodawać, że Koczalski jest zupełnie pierwszorzędnym technikiem. Nad wirtuozem jednak góruje artysta pełny przeświadczenia o swej wysokiej odpowiedzialności artystycznej. Nie wahamy się powiedzieć, że koncert Koczalskiego uważamy za jeden z najlepszych, jakie mieliśmy w Poznaniu w ostatnich latach.

Odczyt p. Henryka Opieńskiego, będący streszczeniem jego znakomitej o

tym mistrzu książki, przyjmowała publiczność z wielkiem uznaniem.

Obu gości oklaskiwano frenetycznie i co najważniejsza — zasłużenie.

Kantata na cześć Szopena odśpiewana przez chór „Lutni“ pod względem wykonania niejedno pozostawiała do życzenia. *R.*



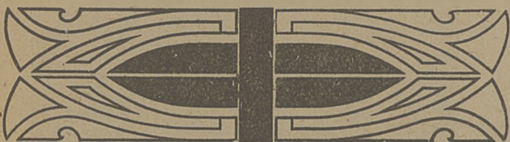
Cieniom wieszcza.

(W rocznicę śmierci).

Adam twe imię, „Król pieśni“ przydomek,
Drogie z przeszłości to dla nas wspomnienie,
A dla każdego Polaka zaszczytem,
Mieć w swym narodzie geniusza co słynie!
Minęły długie, od twej śmierci, lata,
I zwłoki twoje w podziemiach Wawelu,
Czcią otoczone i miłością naszą,
Królewski piewco, ty jeden z niewielu!
I chociaż czasu przeminie wiek cały,
Echo twych pieśni nie przebrzmi, nie zginie,
Wiecznie żyć będzie w twym wdzięcznym narodzie,
I będziesz słońcem nam w smutku godzinie!
Cokolwiek z dzieł twych do ręki się bierze,
Zacne i wielkie — to skarbów pacierze!

Marja Paruszewska.

Poznań, 26. — XI. — 1910.



„FILARETA.“

Od dawna dawała się uczuwać potrzeba pisma poświęconego wyłącznie sprawom młodzieży, organu, w którym by młodzież mogła wypowiadać się swobodnie. To też, gdy swego czasu na łamach „Pracy“ poruszyliśmy kwestyę założenia pisma dla młodzieży, myśl ta w kołach młodzieży nader sympatyczne wywołała echo jak o tem świadczą liczne listy, które nas z tych kół dochodziły.

Obecnie projekt przybrał realne kształty. Leży przed nami zeszyt okazowy „Filarety“, Miesięcznika kulturalnego młodzieży.

Wychodząc z założenia, że młodzież nasza inteligentna, rozrzucona prawie po połowie Europy, a i w kraju oddana pod władzę żywiołów obcych, karmiona cudzą nauką, obcemi językami, wrogiemi ideami, szczególnie jest narażona na niebezpieczeństwo wynarodowienia, redakcya „Filarety“ pragnie stworzyć w swem piśmie łącznik pomiędzy młodzieżą, źródło myśli i kultury polskiej.

Spostrzegając, że pomiędzy starszem a młodszem pokoleniem, powołanem kiedyś do objęcia i rozbudowania spadku odziedziczonego po ojcach, uwydatniają się pewne rozdźwięki i rozbieżności zdań i dążeń, pragnie „Filareta“ z jednej strony zbliżyć młodych do starych i ułatwić im wzajemne poznanie się, a co za tem idzie porozumienie; z drugiej zaś strony pragnie przygotować młodych do objęcia spuścizny po ojcach, aby dzieło, które oni zapoczątkowali nie tylko nie zmarniało i nie spaczyło się, lecz rosło i wzmagało się stosownie do warunków wytworzonych przez czas i okoliczności.

Pracowaliśmy dotychczas niemal wyłącznie w dziedzinie ekonomicznej. Praca ta zbyt może jednostronna wytworzyła podatny grunt dla materyalizmu. Czas, aby zabrać się do energicznej pracy także na innych polach, nad rozwojem kultury i wyższej oświaty. W tej myśli podnosi „Filareta“ wysoko sztandar ducha, idealizmu zgodnie z wysokiemi tradycyami filareckiemi, które tyle wzniosłych i wielkich wyhodowały umysłów i charakterów.

Wszakżeż nie chce „Filareta“ budować gmachu ducha narodowego ani na trzęsawiskach liberalizmu życiowego, ani na piasku bezwyznaniowości, lecz na niewzruszonej opoce wiary katolickiej.

Odrzucając pozytywizm, materyalizm, szowinizm, liberalizm, te ideały dnia wczorajszego, zdąża „Filareta“ za słońcem powstającem wielkiej myśli polskiej, chrześciańskiej, słowiańskiej, za ideałem miłości i wolności, który jest światłem dnia dzisiejszego.

Ślubując dbać o czystość języka streszcza nakoniec redakcya swe wywody zaznaczając, że „Filareta“ będzie odbiciem życia młodzieży wielkopolskiej, że będzie szerzył i utrwalał w młodzieży kulturę i tradycyę polską na podstawie katolickiej, że będzie łączył młodsze pokolenie ze starszem, że nareszcie będzie przygotowywał młodzież do pracy na wszystkich polach życia narodowego.

* * *

Mamy nadzieję, że hasła i myśli uwydatnione przez redakcyę „Filarety“ znajdą oddźwięk w sercach i umysłach dorosłej młodzieży naszej, która pozbawiona dotychczas własnego organu z radością powita powstające w sercu Wielkopolski pismo i poprze nowe wydawnictwo przez abonament i współpracownictwo.

Abonować można „Filaretę“ na wszystkich pocztach wpłacając 90 fen. kwartalnie, lub wprost w administracyi „Filarety“, Poznań ul. Rycerska nr. 38, która za nadesłaniem 1.10 mk. wysyłać będzie pismo pod opaską.

Z naszej strony życzymy nowemu wydawnictwu najlepszego powodzenia i sądzimy, że także nasi młodzi czytelnicy je poprą, a starsi zaabonują je dla swych synów i córek dorastających.

Niechaj młodzież wielkopolska pokaże, że umie cenić zabiegi swych rówieśników i starszych przyjaciół położone około stworzenia pisma, a jestto potrzebne tem bardziej, o ile nie brak znaków wielce przykrych i przygnębiających.

Wszędzie indziej bowiem w świecie ludzie zwykli witać z sympatyą powstające pisma kulturalne jako pożądanych współpracowników nad dziełem podniesienia społeczeństwa i budowniczych przyszłości.

U nas niestety inaczej.

Ze sposobu, w jakim pewne poznańskie pismo rozpisało się o okazowym zeszycie „Filarety“, musimy wyciągnąć wniosek, że jest on pewnym kołom niepożądanem zjawiskiem. Nie kusimy się bynajmniej o należyte scharakteryzowanie takiego zachowania się, lecz zaznaczamy, że tym większy spada na młodzież naszą obowiązek, by z trudem powołane do życia wydawnictwo przy życiu utrzymać.

Na koniec donosimy, że redakcya „Filarety“ każdemu na żądanie gotowa jest wysłać zeszyt okazowy „Filarety“.



Z bieżącej chwili.

Kardynał Merry del Val.

W ostatnim czasie pojawiły się w prasie pogłoski, jakoby stanowisko sekretarza stanu dla spraw zewnętrznych kardynała Merry del Vala było zachwiane. Obecnie dowiaduje się bawarski „Vaterland“ z autentycznego źródła rzymskiego, że kardynał Merry del Val cieszy się obecnie jak i poprzednio, niezmienionem zaufaniem Ojca św. Wszystkie wiadomości prasy

liberalnej o zachwianiu stanowiska kardynała-sekretarza stanu są zwyczajnemi plotkami. Prawdą jest tylko, że od pewnego czasu kilku starszych kardynałów kuryalnych, między nimi ks. kardynał Rampolla — bierze żywszy, aniżeli poprzednio udział w pracach kancelaryi sekretaryatu stanu.



Kardynał Merry del Val.

Nie stanowi to jednak dowodu, aby zaufanie Ojca św. do sekretarza stanu się zmniejszyło lub by stanowisko jego było zachwiane.

Ów fakt, że kilku starszych kardynałów kuryalnych współpracuje z sekretarzem stanu — należy objaśnić trudnościami stosunków politycznych Kościoła w pewnych krajach. Trudności wzrastają i utrudnia się praca dyplomacyi papieskiej. By pracy tej podołać, potrzeba wytrawnych sił dyplomatycznych.

* * *

W obronie języka ojczystego

przemawiali w Dumie petersburkiej w ostatnim czasie posłowie nasi: Ludomir Dymsza, poseł ziemi siedleckiej i



Poseł Ludomir Dymsza.

Dr Jan Haruszewicz, poseł ziemi łomżyńskiej. Pierwszy, odwołując się na manifest carski z dnia 17-go październik nika stawił wniosek, aby w szkołach uczono dzieci religii w ich ojczystym języku, motywując go art. 67. praw zasadniczych, który brzmi jak następuje: „Wolność sumienia (wyznania) nadaje się nie tylko chrześcijanom,



Poseł Dr. Jan Harusewicz.

lecz wszystkie narody, przebywające w Rosyi, chwalą Boga Wszechmogącego w swej mowie.“

* * *

Z Koła polskiego w parlamencie.

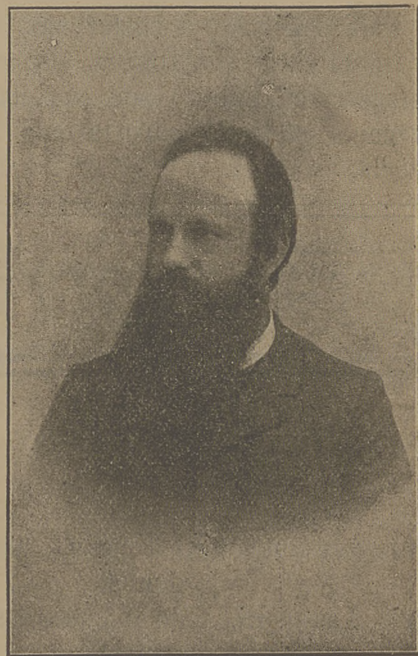
Do komisyi budżetowej, w której dotychczas jako reprezentant Koła polskiego zasiadał ś. p. poseł Dr. Skarżyński, później jako tegoż zastępca poseł Kulerski, wydelegowało Koło na świeżo odbytem posiedzeniu, posła Macieja hr. Mielżyńskiego, jako stałe-



Poseł Maciej hr. Mielżyński.

go członka tejże komisyi. Do komisyi rugów wyborczych wstąpił jako stały członek poseł Jan Brejski.

Skład parlamentu niemieckiego jest obecnie następujący: Centrum liczy 106 członków, Koło polskie 20 członków. Stronnictwo konserwatystów 58 członków. Stronnictwo rzeszy niemieckiej 25 członków. Zjednoczenie ekonomiczne 17 członków. Niemieckie stronnictwo reformowane 3 członków. Narodowi liberałowie 49 członków. Ludowa partya postępowa 48 członków. Socyaliści 52 członków.



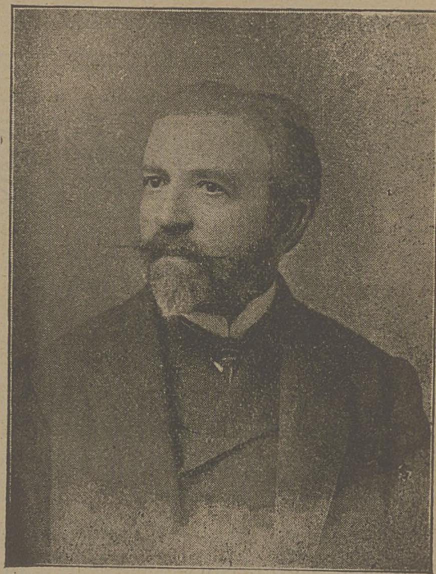
Poseł Jan Brejski.

Do żadnego stronnictwa nie należy 18 członków.

* * *

Dr. M. Bobrzyński w Wiedniu.

Namiestnik galicyjski Dr. Michał Bobrzyński przybył do Wiednia. Prasa wiedeńska niepotrzebnie łączy przybycie Dr. Bobrzyńskiego z przesileniem w gabinecie austryackim z powodu zatargu między Kołem polskiem a ministrem skarbu Drem Bilińskim i ministrem rodakiem Dr. Dulębą o sprawę kanałową. — O ile korespondentowi wiedeńskiemu „Głosu Naro-



Dr. M. Bobrzyński, namiestnik Galicyi.

du“ wiadomo — to pobyt Dr. Bobrzyńskiego w Wiedniu pozostaje w związku ze świeżo zakończoną sesyą sejmową. Dr. Bobrzyński ma złożyć urzędowe sprawozdanie z przebiegu sesyi sejmowej prezydentowi ministrów baronowi Bienerthowi i przed-

stawić do najwyższej sankcyi uchwalony przez Sejm budżet krajowy.

* * *

Klęska Kramarza.

Znany przywódca Młodoczechów Kramarz poniósł klęskę. Otóż Czesi utworzyli wspólny czeski klub parlamentarny. Kramarz chciał zostać prezesem. Tymczasem prócz Młodoczechów wszyscy inni posłowie głosowali trzy razy na b. ministra Dra Fiedlera. Kramarz nie wszedł nawet do zarządu klubu.



Dr. Karol Kramasz.

Młodoczesi są oburzeni i głoszą, że jednolitość czeskich stronnictw w takich warunkach zbyt długo nie pot. wa.

* * *

Rewolucya w Meksyku.

W wielu miejscowościach w Meksyku przyszło do znacznych rozruchów. Rewolucyoniści zajęli kilka miast i obłożyli aresztem żywność, konie, bydło i przybory wojskowe. W pewnym domu wykryto spisek rewolucyjny. Znaleziono dokumenty, które wskazują na to, że istniał zamiar wymordowania kilku wysokich urzędników. Prezydent Diaz miał być wzięty do niewoli, lecz nie pozbawony życia. Wódz rewolucyonistów meksykańskich, odniósł poważną ranę w bitwie pod Guerrero, ale mimo to nie oddał komendy. Z Nowego Jorku donoszą, że broń i amunicyę dla powstańców meksykańskich przewieziono już przed 6 tygodniami z St. Louis w Stanach Zjednoczonych. Obecnie rząd amerykański konfiskuje wszelką kontrabandę.



Prezydent Diaz.

Jednocześnie wybuchła rewolucya w Brazylii. W Rio de Janeiro, stolicy kraju, przyszło do znacznych rozruchów. Przywódcą buntu jest Murzyn Candido. Wojsko i flota przeszły na stronę powstańców. Według ostatnich wiadomości bunt już stłumiono i obecnie panuje zupełny pokój.



Ks. Teofil Gapczyński.

O Maurycym Mochnackim.

(Z papierów pośmiertnych.)

Są w historyi naszego narodu, a zwłaszcza z początku wieku XIX postacie wielkie, postacie jasne i promienne, które były duszą swego czasu, a na których dziś spoczywa grobowy kamień zapomnienia. Wszak w tym grobie spoczywa taka potęga jak filozof Hoene-Wroński, myśliciele tej miary, co Trentowski, Cieszkowski i Libelt, uczony Lelewel, a obok nich legion bohaterów myśli i czynu. Jak mało n. p. znany u nas a zwłaszcza wśród ludu, największy ludowiec, demokrata, jeden z największych, najwszechstronniejszych ludzi, jakich wydała Polska; Maurycy Mochnacki!

Odwalmy dziś kamień grobowca zapomnienia, który leży nad Mochnackim i przypatrzmy się bliżej tej postaci wielkiej, która była niejako duszą powstania listopadowego, które z pewnością byłoby wzięło obrót szczęśliwszy dla nas, gdyby Polska wówczas była słuchała jego głosu wołającego na puszczy bezradności i niedołęstwa.

Maurycy Mochnacki przyszedł na świat 13 września 1804 r. we wsi Bojańcu, w Galicyi w pobliżu Lwowa. Po ojcu, Bazylim Mochnackim, odziedziczył gruntowność w studyach i niezwykły dar wymowy — po matce, temperament żywy, a nawet gwałtowny. Pięcioro dzieci posiadali Mochnaccy, trzech synów: Maurycego, Kamila, Tymoleona i dwie córki: Klementynę i Olimpię.

W gronie tem najstarszy Maurycy rokował najpiękniejsze nadzieje; to też cieszył się względami rodziców nadzwyczajnemi. Pod kierownictwem uczonego ojca, pod opieką rozkochanej w swym ulubieńcu matki wesoło i szczęśliwie do szesnastego roku życia wzrastał przyszły działacz literacki i polityczny. O tej szczęśliwie spędzonej młodości nie zapominał nigdy. W dniach męskiego smutku i goryczy, w latach zgryzot, niedoli, w długich miesiącach samotnej tułaczki pod obcem niebem, w złych godzinach zwątpień i szamotań, często powracał myślą do lat młodzieńczych i kąpał się w wspomnieniach dzieciństwa jak w ożywczem źródle.

Na wsi, w otoczeniu ludu wiejskiego, wśród szumu pól polskich rósł i marzył o biednej swej ojczyźnie przyszły mocarz pióra. Z tych pól polskich, rozległych wyniósł usposobienie rzewne a przytem żywe, gwałtowne, dzikie. Przewodnią myślą jego od najpierwszej młodości była ojczyzna, jej dźwignięcie z upadku. A wiedząc, że tylko za pomocą wiedzy i nauki można się przyczynić do ratowania ojczyzny, z całą gwałtownością swego temperamentu poświęcił się studyom. Kiedy jako szesnastoletni młodzieniec wstąpił do gimnazyum warszawskiego, przenikał młodzież ówczesną całej Europy prąd spiskowy, rewolucyjny. Cóż dopiero w Królestwie Kongresowem, gdzie rozgoryczenie z powodu tyranii W. Ks. Konstantego rosło, olbrzymiało, kotłowało jak w wulkanie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nasze ryciny.

Z pomnika grunwaldzkiego w Krakowie: Jagiełło na koniu.

Z powodu wielkiej rocznicy grunwaldzkiej damy Szan. Czytelnikom seryę pięknych kart albumowych, przedstawiających poszczególne grupy olbrzymiego pomnika, króla Władysława Jagiełły, odsłoniętego w Krakowie dnia 15-go lipca r. b. oraz pomnik cały.

W niniejszym numerze zamieszczamy króla Jagiełłę na koniu. Pomyślany jest ten król bohater w chwili odniesionego zwycięstwa. Dzieło wielkiego dnia już dokonane, pobojowisko krzyżackiemi zasiane trupami. Król jak gdyby chciał zaznaczyć, że spełniło się, spuścił prawą rękę wraz z mieczem na dół, w oczach znać zachwyt jak gdyby zwracał się ku niebu i mówił: dzięki Ci Boże, żeś dał zwycięstwo, żeś pozwolił sprawie słusznej i uczciwej pokonać obłudę, chciwość i rozbój.

Król jak gdyby porwany i zachwycony tem, co się dokonało, ściągnął konia, a koń dzieli radość swego pana i łbem dumnie wzniesionym ogłasza tryumf oręża polskiego.

Pomnik, który jest dziełem artysty rzeźbiarza Antoniego Wiwulskiego, podarował, jak wiadomo, Krakowowi i całej Polsce wielki nasz mistrz tonów Ignacy Paderewski.

Zakład artystycznej fotografii

Atelier Rubens

dawn. **E. Mirska**

w Poznaniu przy placu Wilhelmowskim 3.

Telefon 615.

Wykonuję fotografie wszelkiego rodzaju.

Powiększenia. - Pigmenty. - Akwarele. - Portrety olejne.

Fotografie ś. p. X. Prałata Wawrzyniaka są wykończone w każdej wielkości.

Portrety olejne naturalnej wielkości Mk. 60,00.

Niniejszem podajemy do wiadomości, iż dotychczasowy nasz reprezentant na W. Ks. Poznańskie p. **Kazmierz Krajna** z dniem 1 grudnia 1910 urząd swój składa i że w miejsce jego, **powierzyliśmy Generalną Agenturę naszą na W. Ks. Poznańskie od 1 grudnia 1910**

panu Franciszkowi Rajczakowi

którego biuro znajduje się

w Poznaniu przy placu Sapieżyńskim (Sapiehaplatz) Nr. 3 na parterze.

Poznań dnia 28 listopada 1910. 361

Generalna Dyrekcya „Westy“
Banku wzajemnych zabezpieczeń na życie w Poznaniu.

Powołując się na powyższe zawiadomienie, polecam się do zawierania ugód zabezpieczeniowych; na życzenie służyć jestem gotów b zpłatnie wszelkiemi informacyami wchodzącemi w zakres zabezpieczeń życiowych.

Poszukuję zarazem zdolnych agentów i akwizytorów tak w mieście jak i na prowincyą za wysokiem wynagrodzeniem prowizyjnem.

Franciszek Rajczak
Generalny Agent

Maszyny do szycia.

Jedyny polski specyalny skład

T. Konikiewicza

POZNAŃ, ul. Teatralna 7 (Theaterstr. 7)

poleca pod sumienną gwarancyą ulepszone **Singera** i jako najlepsze z centralną szpulką, których się do modnego haftowania używa. Lekcye modnego haftowania każdego czasu i bezpłatnie. Spłaty miesięczne i kwartalne. 254

A. Szmytkowski

Telefon 17. **Pniewy (Pinne.)** Telefon 17.

Destylacya. Fabryka likworów i araków.

Specyalności:

Jubileuszówka, Jagodówka,
Gdańskie wódki,
Nalewka wiśniowa, Nalewka pomarańczowa,
Nalewka śliwkowa.

Premiowane złotymi medalami

Nowości: 59

„Hetman“, staropolski likier żołądkowy
„Ukas“, krystalizowana kminkówka
Skład prawdziwych araków, rumów, koniaków i handel win.



Meinel & Herold

fabryka harmonik
Klingenthal (Sachsen) Nr. 181

Zadziwiające najtańsze i najlepsze źródło zakupu dla **harmonik** wszelkiego rodzaju. 268

1, 2, 3, 4 rzęd w i 2, 3, 4, 6 i 8 chorowe, jako też **wiedeńskie harmonii** i przeszło 20 numerów.

Harmoniki usne, bandoniony, gitary, skrzypce, cytry, cytry, gitarow., flety, katarynki, okaryny,

Zamów. od 10 mk pocz. w Niemczech **porto wolne.**

Gwarancya: Odbiór ... pieniędzy. Nowy główny katalog każdemu frank.



Abonujcie „Pracę!“

„PRACA“ powinna znajdować się w każdym domu szczerze polskim.



Księgarnia Katolicka, Poznań, ul. Jezuicka 5, wydała i poleca książkę kucharską p. t.

Makarego 730 obiadów

wielkich, średnich i małych, mięsnych i postnych z opisem śniadań i wieczerzy, tudzież śpiżarni, sklepu i kuchni dla chorych, oraz pieczenia ciast i robienia konfitur. — Wielki format, papier gruby druk bardzo wyraźny, str. 360. **Cena bez oprawy 2.20 mk., z opr. 3.00, porto 20 fen.** Należytość nadsyłać naprzód lub zamawiać za zaliczkę.

Uwaga: Makary sztuki gotowania uczył się w Francyi i Anglii, a wróciwszy z podróży osiadł w Poznaniu i zarządzał kuchnią w Bazarze, największym hotelu tego miasta. Potrawy w jego książce nie są wypisane z innych dzieł lecz oparte na własnem doświadczeniu.

„Ritterin“

(w urzędzie patentowym zastrzeżony)

najlepszy błyszczyk na obuwie **z fabryki chemicznej** 11

Z. Rittera Następcy

Poznań, Sw. Marcin 20.

Jedyny polsko-katolicki Dom wysyłkowy „Gwiazda“

w Wrocławiu

poleca

wszelkie książki historyczne i do nabożeństwa, rzeczy galanteryjne, biżuterye, dewocyonalie itd.

Na życzenie wysyłam franko wielki illustrowany cennik.

Józef Merswa

Wrocław (Breslau), Fichtestrasse 14.

„GRYF“

PISMO DLA SPRAW KASZUBSKICH.
WYCHODZI RAZ NA MIESIĄC.
CENA ZESZYTU 50 FEN.

ADRES REDAKCYI:
„GRYF“, KOŚCIERZYNA (BERENT W.-PR.)

Brazylia. Informacyi o tym kraju udziela autor **„Przewodnika dla wyjeżdżających do Brazylii“** za nadesłaniem dwóch marek pocztowych jakiegokolwiek kraju.

Adresować: **Fel. Bern. Zdanowski, Wien VIII/2, Laudongasse 57.**



Paula Wężyk.

NIEPOKALANA.

*Na szafirowym nieboskłonie
Złocistych gwiazd lśnią arabeski,
Jak srebrna lampa księżyc płonie
I skrzy się, świeci strop niebieski.*

*A ziemia w puchach śnieżnej bieli,
Jak panna młoda w ślubnej szacie,
Ukołysana w tej pościeli
Śni w blaskach gwiazd i w ich poświacie.*

*Lecz z nieba ku niej upojenia
Czar taki święty, słodki bije,
Że aż się ockła i wśród drżenia,
Czeka na świętą, na Maryę.*

*— Spłynie dziś z niebios Przenajświętsza,
Szept cichy słychać hen, w przestrzeni,
— W okół owionie szat Jej tęcza
I to, co złem jest, w dobre zmieni.*

*Drgnęły wzruszeniem drzew konary
I drżą z pod lodu wód kryształy.
— O, święte, zbawcze źródło wiary
Spłyń ku otusze ziemi całej!*

*Cisza... Wtem jakby niebo w górze
Otwarło gwiezdnych bram podwoje
I płyną, płyną po lazurze,
Nadziemskich zjawisk cudne roje.*

*Płyną Anieli a na czele
Postać światłością taka lśniąca,
Że bielsza jest nad śniegu biele,
Złocistsza niźli wszystkie słońca.*

*Księżyc Jej do stóp tarcz swą kłoni,
Gwiazdy nad głową lśnią w djademie,
Lecz bólem lice Jej się płoni,
A z ócz łza spadła tu, na ziemię.*

*Niepokalana patrzy na dół,
Pierś Jej podnosi ciche łkanie:
— Och, jakiż grzeszny ziemski padół,
Jak lud wciąż stacza się w otchłanie...*

*Znak kainowy czoła plami,
Grzech świętokradztwa wzywa kary,
O, ludzie, ludzie, czemu sami
Czci pozbawiacie się i wiary?*

*Ach, krwi Jezusa wy nie godni,
Jam na krzyż dała za was Syna,
A was znów plami piętno zbrodni
I mnoży się z dnia na dzień wina...*

*I już, już zda się Matka Boża
Anielskich skrzydeł płynąc lotem*

*Wraca zkąd jasna wschodzi zorza
Tam, do niebieskich bram z powrotem...*

*Już ponad gwiezdne płynie smugi,
Już w mgle Jej szaty nikną lśniące,
Lecz krzyk boleści i jęk długi,
Przebiegł nad światem, z końca w końce.*

*Aż gwiazdy nagle bieg wstrzymały,
Niebo oddźwiękło płaczu echem
I pobladł księżyc srebrno biały
I żalił się nad ziemi grzechem.*

*Wstrzymały się anielskie roty,
Gdy posłyszały krzyk rozpaczy,
Niepokalana wzrok tęsknoty
Zwróciła na dół i znów patrzy.*

*Żal Macierzyńskie serce ściska,
Więc przebaczenia szepce słowa
I znów miłości słodkiej bliska,
Śle błogosławieństw znak Królowa.*

*I znakiem krzyża żegna ziemię
I miłosierdzia wzywa Pana,
Błaga, by zdjął z nas bolu brzemie
Najświętsza i Niepokalana.*



Najśw. Marya Panna w Tomaszowie.

Tomaszów, małe miasteczko w gubernii lubelskiej w Król Polskiem, słynie od dawnych lat posiadaniem cudownego obrazu, który umieszczonym jest w wielkim ołtarzu kościoła parafialnego. Dawniej obraz znajdował się w kościele Trynitarskim, na wzgórzu piaszczystem. Kościół ten zbudował wojewoda kijowski, Józef Potocki, w r. 1725, a przy nim klasztor, w którym osadził Trynitarzy. Aliści cesarz Józef II w r. 1786 skasował Trynitarzy, a kościół zamknął. Wtedy Arcybiskup kazał przenieść obraz cudowny do kościoła parafialnego, gdzie do dzisiaj się znajduje.

Obraz słynął od lat wielu cudami, które sprawdziła komisya duchowna, wysłana na miejsce przez ks. Biskupa Święckiego w 1678 roku. Dziwne ten obraz przechodził koleje. Szwedzi ukradli go z kościoła, i porzucili w stajni. Tam odszukany został przez pobożną niewiastę, która go we czci przechowała i oddać poleciła ks. Arcybiskupowi we Lwowie, skąd wrócił napowrót do Tomaszowa.

Jednocześnie zamieszczamy następujące widoki z Tomaszowa: Kościół parafialny, Rynek, ulicę Lwowską, staw miejski i wodospad na rzecze Tanwi.

Wielka figura, to często bardzo mały człowiek, ale ta figura w innych zwykłych ludziach budzi nadzieję, że to musi być coś nadzwyczajnego. Tymczasem ona tylko ubrana jest w wielkość. Czasem umie się nadać do swojej roli, a czasami zgrywa się i wtedy jest śmieszna, mała i płaska.

Maryan Gawalewicz.

* * *

*Świeć, Jadwigo, świeć Ojczyźnie!
Jako gwiazda wnijdź nad nami!
Trzy narody Twoje bliźnie
Oświeć cnót swych promieniami!*

Kazimierz Lubecki.

* * *

Społeczeństwo, które przestaje dbać tak o wewnętrzną jak o zewnętrzną wartość swoją, wkracza w ciemności barbarzyństwa.

Stanisław Tarnowski.



Jan Całka.

Wpływ alkoholu na ustrój ludzki.

Sprawa, o której pisać zamierzam, jest t. zw. kwestya alkoholizmu czyli zagadnienie nad wszystkiemi szkodami, jakie wyrządza używanie spirytusu. Zagadnienie to zaprząta dziś najpoważniejsze umysły w świecie, o czem świadczą doroczne kongresy międzynarodowe najwybitniejszych z całej kuli ziemskiej działaczy na polu społecznem; działacze ci, w przeważnej części lekarze, zajmujący się w szczególności wpływem alkoholu na ciało ludzkie, dochodzą na takich zjazdach przez wzajemną wymianę zdań i zapatrywań do coraz pewniejszych sposobów uleczenia ludzkości z pijaństwa. Z tego więc wynika jasno, że o tem myśleli już inni ludzie dawno i teraz ciągle jeszcze roztrząsają sprawę tę bardzo zawikłaną; to nas powinno tem więcej pobudzić do zastanowienia się co lepsze: czy iść za ich głosem, czy też zachować kierunek dotychczasowy, nie troszcząc się o to, co się stanie w przyszłości z naszemi dziećmi?

Cóż to jest właściwie ten alkoholizm, któremu walkę wypowiedziały stowarzyszenia wszystkich nieomal krajów?

Wyraz alkoholizm określa wszystkie szkody tak materyalne jak i moralne, wyrządzane przez alkohol czyli u nas powszechnie zwany spirytus, użyty w jakiejkolwiekbądź postaci: czy to w formie wódki, piwa, wina, czy też przeróżnych likierów i t. p.

I cóż złego sprawia nam wódka, którą używamy na smutek i wesele, na trawienie, wzmocnienie, pokrzepienie, rozgrzanie i ochłodzenie, na wszelkie bóle wewnętrzne i zewnętrzne; która pożywia i gasi pragnienie? Zaprawdę, że trudno w tych wymienionych stronach dodatnich znaleść coś ujemnego i na cóż opłacamy tak często lekarza i aptekę, kiedy wszystkie choroby leczy wódka, dostarczana nam nieomal w każdym drugim domu ulicy?

Otóż, krótko powiedziawszy, te wszystkie wymienione strony dodatnie alkoholu, są tylko mniemaniem przeszłości i przesądem, złudzeniem i oszukiwaniem samego siebie, gdyż alkohol to trucizna jak arszenik, opium, morfina, strychnina i wszystkie kwasy, jak solny, siarczany, pruski itp. z tą tylko



Kościół parafialny w Tomaszowie.

różnicą, że nie zabija od razu, lecz powoli niszczy nasz organizm stosownie do napoju, w którym jest mniej lub więcej rozcieńczony.

Aby dokładnie poznać działanie okowity, trzeba śledzić jej bieg od samego jej powstania. Jeżeli więc napełnimy szklankę wodą z rozpuszczoną w niej znaczną ilością cukru i pozostawimy tę ciecz działaniu powietrza, poczujemy już po trzech dniach woń wydobywającą się z cieczy, a przypominającą nam bardzo wódkę.

Nie stało się tu nic innego jak przez połączenie powietrza a w szczególności grzybków drożdżowych z cukrem powstanie okowity czyli alkoholu.

Na tej samej podstawie powstaje alkohol w gorzelniach, gdzie wpierw różnemi sposobami wydostaje się z mączki perczanej cukier i połącza go z drożdżami czyli młodziami.

Zanim go w dalszym ciągu wprowadzimy do naszego ustroju, przypatrzmy się jego najważniejszej właściwości, porównując go z truciznami i wodą.

N. p. białko świeżego jaja można z łatwością rozpuścić w wodzie; natomiast kwas azotowy i karbolowy białko ścinają, a wiemy, że owe kwasy są dość ostremi truciznami. Właściwość ścinania białka ma również i alkohol, z czego wynika, że działa w podobny sposób jak trucizna.

Taki przykład nie wystarczyłby jednak za dowód, że alkohol jest rzeczywiście trucizną, gdybyśmy nie mieli gazet, donoszących nam prawie codziennie, że ten lub ów wypił litr wódki i umarł wskutek zatrucia alkoholem, gdybyśmy sami często nie byli świadkami scen, w których pijak, odgrywający główną rolę; pada nieprzytomny, porażony trucizną alkoholową; zresztą wiedza lekarska, na której zdaniu koniecznie musimy polegać, wykazała, że alkohol jest trucizną i stąd też w każdem dziele lekarskiem stawia go w rzędzie wszystkich trucizn.

Jeszcze pewniej przekonamy się o zgubnym jego wpływie, skoro zbadamy oddziaływanie jego na nasz organizm.

Alkohol przyjęty pod jakąkolwiek bądź postacią i w jakiejkolwiek bądź ilości, wywołuje już w przełyku naszym podrażnienie i lekkie zapalenie, czem się tłomaczy zachłyśnięcie lub nagłe pokaszlenie u osób nieprzyzwyczajonych do picia. Wiemy przecież, że ludzie używający stale napojów alkoholowych prawie ciągle pokaszlują, gdyż błona śluzowa w gardle wysycha pod wpływem alkoholu i zaognia się w skutek większego napływu krwi. Alkohol bowiem ma tę właściwość, że odbiera wszystkim materyom, z któremi się styka, wodę, o czem nas przekona następujące doświadczenie: Ośródka bułki lub chleba zawiera w sobie tyle jeszcze wody, że można ją łatwo w palcach ugniatać, a zwilżona wodą pęcznieje. Inaczej a nawet przeciwnie się dzieje, skoro polejemy ośródkę alkoholem, gdyż nietylko, że nie napęcznieje, lecz stwardnieje na podstawie tej właściwości, że alkohol wyssał z niej ostatnią kroplę wody. To samo doświadczenie można wykonać z cukrem, który w wodzie rozpuszcza się już po kilku minutach, a w alkoholu może lata całe leżeć i nie rozpuści się nigdy. Właściwość tę alkoholu zna dobrze alchemik, który w słojach dużych, napełnionych okowitą, przechowuje różne zwierzęta nieżywe, chroniąc je przed zepsuciem.

Idąc dalej za alkoholem, dostajemy się rurą pokarmową do żołądka, gdzie się odbywa trawienie przy pomocy t. zw. soków żołądkowych rozpuszczających pokarmy. Najważniejszym sokiem trawiennym jest pepsyna, która rozkłada białko, znajdujące się prawie w każdej potrawie. Udowodnionem jednak jest, że tam, gdzie jest alkohol, nie może istnieć pepsyna. Przypuśćmy więc, że ktoś zjadł porcyę mięsa i napił się wódki, to białko zawarte w mięsie w dość znacznej ilości, nie tylko, że nie zostanie strawione dla braku pepsyny, lecz nadto twardnieje pod wpływem alkoholu i pozostaje w żołądku.

Ponieważ alkohol osusza błonę śluzową i drażni ściany żołądka, paraliżuje jednocześnie jej sprawności wydzielania należytej ilości innych soków trawiennych, z resztą pokarmów dzieje się to samo, co z białkiem. Że zepsute i niedotrawione pokarmy muszą w

żołądku wywołać jakieś zaburzenie, to jest jasnem, i tu chyba nie potrzeba być wielce uczonym, aby zrozumieć, że wielkie choroby żołądka mogą i to bardzo często mieć swoje źródło w szkodliwym wpływie alkoholu. Udowodnionym faktem jest, że po każdem przepiciu się osobnika pojawia się t. zw. katar żołądkowy, który przy stałem używaniu alkoholu zamienia się na chroniczny i przewlekły katar żołądka i kiszek. Choroba ta charakteryzująca się zapaleniem wewnętrznej ściany żołądka i kiszek, gdzie tworzą się wrzody, jest prawie nieuleczalna. Błona śluzowa nabrzmiewa wówczas, układa się w istne fałdy i nabiega krwią, stąd też pochodzi jej barwa ciemno-czerwona, różniąca się bardzo od zdrowej błony.



Rynek w Tomaszowie.

Z żołądka dostaje się alkohol do krwi i przepływa z nią najpierw wątrobę, która w sposób zastraszający odczuwa jego działanie. Alkohol wywołuje przetłuszczenie wątroby, która w ten sposób rozszerza się do olbrzymich wielkości.

Wątroba poprzerastana tłuszczem nie może oczywiście swych czynności sprawować tak jak normalna; to też w pierwszej linii wywiera ujemny wpływ na trawienie, gdyż z jednej strony nie może wyrabiać należytej ilości żółci, a z drugiej strony żółć, której przewód zwężony, nie mogąc się przedostać do kiszek, gdzie się dokonywa przy jej pomocy ostateczne trawienie, przeciska się przez naczynia krwionośne, czyli żyły do ich wnętrza i zabarwia krew, zkąd powstaje żółtaczka.

Druga choroba wątroby wywołana często zatruciem alkoholu objawia się w sposób wręcz przeciwny, czyli wątroba skurcza się i tężeje. Jeżeli arterye w niej się pokurczą i krew pędzona nie znajdzie ujścia wolnego, zalewa wątrobę i przecieka powoli do jamy brzusznej, następstwem czego jest wodna puchlina, znana z pewnością każdemu z boleści, jakie chory odczuwa. Choć często lekarze zdołają odpuścić ciecz z jamy brzusznej, napłynie ona po niejakim czasie znowu w tej samej ilości (często do 10 litrów) i chory szybkiem krokiem zbliża się do grobu.

Jeżeli pomyślimy, że wątroba może 3 i 4 razy powiększyć się, zrozumiemy wówczas, skąd się biorą u osób niektórych olbrzymie brzuchy, sięgające do ziemi prawie.

Zrozumiemy wówczas również owa trudność w wykonywaniu ruchów tych wszystkich, którzy dzięki piwu lub innym wyskokom są narażeni na bardzo nieraz nieprzyjemne wypadki.

Dalszym narządem niemniej głównym a ulegającym wpływowi alkoholu są nerki, których czynności polegają na filtrowaniu płynnych części naszego pokarmu, czyli zadaniem ich jest wydzielanie nieczystych części i nieużytecznych na zewnątrz w kształcie moczu. Pod wpływem alkoholu przerastają nerki tłuszczem, kurczą się lub twardnieją podobnie jak wątroba. Z chorobą nerek jest również często wodna puchlina połączona.

W obiegu krwi dostaje się alkohol następnie do płuc, które oczyszczają krew, odbierając jej kwas węglowy, a karmiąc ją tlenem czyli kwasorodem. Tlen, który wdychamy z powietrzem za pomocą płuc, jest nam potrzebny do utrzymania się przy życiu. Ztąd wynika, jak ważnemi są dla nas płuca; bez nich nie moglibyśmy przecież żadną miarą żyć.

(Dokończenie nastąpi.)



KARCIARSTWO.

Gra w karty w obecne czasy jest bardzo rozpowszechniona i szerzy się, jak epidemia. W chacie biedaka i w bogatych pokojach — gości ten nałóg. Jedni grają dla rozrywki, „dla zabicia czasu“, inni dla interesu — dla zdobycia pieniędzy.

Początek dała kartom rzeczywiście rozrywka, a mianowicie: we Francyi, na początku wieku 15-go panował król Karol VI., który cierpiał na obłąkanie. Dworzanie wynajdywali dla króla jegomości różne rozrywki, aby się nie nudził, — wymyślili więc karty. Z początku bawili kartami króla, potem sami zaczęli się zabawiać. Za dworzanami poszła służba, i karty wędrowały coraz dalej i dalej w świat a wreszcie opanowały całą kulę ziemską.

Karciarstwo jest zgubnym nałogiem: osobników z natury zapalczywych prowadzi do ruiny moralnej i materyalnej. Ludzie często mówią: „Kto gra w karty, ma łeb obdartry“. Pod wyrazem „łeb“ należy rozumieć majątek, pieniądze. Gra w karty, nawet dla rozrywki, „dla zabicia czasu“ jest złym zwyczajem. Czyż mamy tego czasu tak wiele, żebyśmy go mieli aż „zabijać“! Bierzmy przykład z Anglików, tych mrówek w postaciach ludzkich. Ci czas cenią na wagę złota. Tam we wszystkich fabrykach, sklepach, instytucyach wszelkiego rodzaju widnieje napis: „Szanuj czas, bo czas to pieniądz“. Anglicy, Duńczycy szanują tę zasadę, a więc są



Ulica Lwowska od strony galicyjskiej w Tomaszowie.

narodami bogatymi. My gramy w karty, ażeby „zabić czas“, upadamy więc moralnie i materyalnie.

Oto przykład. Gospodarz gra w karty (w „maśla,“ „durnia,“ „krzyże“, „kiksa“, „puka“ (stukułkę), w „66“, w „kupki“ itp.) w niedzielę lub święto do później nocy. Kładzie się spać z ciężką głową, głodny, wycieńczony, prawie chory; po tak długiem siedzeniu należy i dłużej pospać. A więc śpi. Już słonko wysoko. Ludzie dawno zajęci pracą, a nasz karciarz przewraca się na drugi bok. Służba, często z gospodarzem grająca w karty, idzie za przykładem pana. A więc także śpi. Co się dzieje? Robota się opóźnia, gospodarstwo cierpi; odbija się to niekorzystnie na kieszeni samego gospodarza. Chwalić Boga, jeżeli gra się tylko w niedzielę i święta: lecz są tacy, którzy codzień grają, szczególniej w długie zimowe wieczory. Tacy napewno kapelusze przegrają.

Przez karty cierpi nietylko strona materyalna osobnika, ale w znacznym stopniu strona moralna. Ileż to przy kartach obrazy Boskiej, ileż chytrości, podstępów, zazdrości, gniewu itp. wad charakteru nabywa człowiek, ile to sobie „napsuje krwi!“ Gra w karty dla „zabicia czasu“ jest takąż stratą materyalną, jak gra na pieniądze, tylko z mniejszym hazardem. Gra w karty na pieniądze jest poprostu „delikatnym rabunkiem bliźniego“. Gra hazardowa, to etykietalny bandytyzm. Ten rodzaj gry jest surowo karany w państwach o wysokiej cywilizacyi.



Dział kobiecy.

O ruszaniu szczękami.

Najpowszechniejszym chyba w życiu powszechniem objawem jest.. bezprodukcyjne ruszanie szczękami. Ileż to czasu tracą różni zwykli i niezwykli śmiertelnicy na wyrzucanie z ust swoich bezmyślnych, nikomu korzyści nie przynoszących milionów frazesów. Gdyby można było utworzyć z nich drabinę, to nie byłaby ona wcale mniejsza od tej z historyi Stargo Testamentu, o której się... śniło Jakóbowi. Łacno po niej moglibyśmy wnijść do nieba.

Dobrze jeszcze, jeśli to „ruszanie szczękami“ powoduje jedynie stratę czasu — bywa jednak gorzej, bo sprowadza częstokroć na głowę uprawiającego ten sport niewdzięczny piorunowe zarzuty, naraża na przeróżne nieprzyjemności, a zwykłych śmiertelników naraża niekiedy na... więzienie.

Wprawdzie za specyalistki od bezprodukcyjnego ruszania szczękami uważane są przeważnie kobiety, i płeć brzydka wszakże nie jest zupełnie pozbawiona tego rodzaju sportu.

Przedstawicielki pięknej płci, nasze ciocie, stryjenki, a zwłaszcza teściowe i t. p., bardzo dużo energii tracą na nieprodukcyjne ruszanie szczękami. Nieprodukcyjne, gdyż obecnie już wyżej omawiana wada płci pięknej przestaje być wadą i przeciwnie — przynosić będzie pożytek...

Tak, szanowne czytelniczki — pożytek. Bo oto, jak donosi jedna z gazet amerykańskich, p. J. Montgomery Gubbins z Omaha, Neb., wynalazł aparat, za pomocą, którego żona wynalazcy żując gumę, poruszaniem szczęk może wykonywać pożyteczną robotę. A dzieje się to tak:

— Aparatem — mówi wynalazca — przymocowanym do jej szczęki, kręci ona... maszynę do szycia i „praca“ ta sprawia jej wiele... przyjemności. Podobnym aparatem moja teściowa także porusza... maszynkę do robienia masła.

Gubbins przyjechał do New Yorku, by wynalazkiem swym zainteresować miejscową publiczność.

— Brawo, Gubbins! — zawołacie szanowne czytelniczki....

I całkiem słusznie, wynalazek wart Edisona i stanowi prawdziwą zdobycz XX. stulecia. Bo wyobraźcie sobie, ile to pożytku uciemiężonej płci brzydkiej, oraz ludności całej przyniesie, jeśli nasze żony, teściowe i ciocie zaczną nam prawić morały z przyczepionemi do swych twarzyczek odpowiedniemi przyrządami... Ile to w przeciągu godziny narobią one koszul... Ile to będą mogły zrobić masła... A dziś, ani „krótkie“ mowy naszych żon i teściowych, ani gwałtowne „wychodzenie z siebie“ rozmaitych pań — nie przynoszą żadnego pożytku.

Brawo, Gubbins! — dzięki tobie i poruszanie szczękami na coś się przecie przyda.



Z zarostem i bez zarostu.

Jeśli historyk jaki, badający zwyczaje i obyczaje ludów, zechce kiedyś opisać dzieje brody i wąsów, tej najpiękniejszej dziś ozdoby człowieka „cywilizowanego,“ to dojdzie do przekonania, być może z pewnego rodzaju przykrością, że przeważna część narodów „historycznych“ nie uznawała tej — w naszem pojęciu — ozdoby i pozbywała się wszelkich na twarzy zarostów.

Jak dziś prawie wszystkie ludy w stanie dzikim żyjące, starannie usuwają włosy z twarzy, bądź to goląc je, bądź wyrywając każdy włos oddzielnie, co ani nie jest przyjemne, ani godne naśladownictwa ze względów hygieny, — tak samo w przeważnej części okresów kultury uważano twarz wygoloną za wyraz „szyku“ i najświeższej mody. Tymczasem moda to stara jak świat, lub przynajmniej — jak istnienie człowieka mniej lub więcej kulturalnego.

Starożytni Egipcyanie, Grecy i Rzymianie z pogardą spoglądali na „barbarzyńców,“ którzy pozwalali włosom na twarzy i głowie rosnąć dziko, gdyż w ich pojęciu jedynie tylko gładka twarz odpowiadała godności człowieka wykształconego.

Mieszkańcy kraju Faraonów uważali za wybryk mody pozostawianie dwóch cienkich kosmyków na brodzie — jakiś czas powszechnie to praktykowano, — Grecy zaś i Rzymianie nawet brwi, któremi zwłaszcza u kobiet tak zachwycają się poeci nowocześni, — uznawali za nieładne i zbyteczne, i usuwali je za pomocą ostrego noża lub nożyczek.

Wielce pierwotnym nożem kamiennym, jakim dziś jeszcze posługują się Kafrowie w Afryce południowej, Egipcyanin pozbywał się zarostu; Grek lubujący się w wygodzie, używał do tego samego celu noża w kształcie sierpa. Noże tego rodzaju miały ozdobne rękojeści, nieraz bardzo kosztowne.

Wieki średnie nie miały ustalonego poglądu na kwestyę brody i wąsów: włościanin i uczony usuwali zarost z twarzy, wojownik, patrycyusz, uważali go za ozdobę i oznakę swego stanu i troskliwie go pielęgnowali. W tych czasach mawiano, że broda, im dłuższa, tem jest piękniejsza. Mieszczanie tylko tytułem przywileju mogli nosić zarost.

Jednym z charakterystycznych dla

wąsów i brody był okres wojny 30-letniej (1618—1648). Wówczas to brodę skrócono do minimum, a z wąsów pozostawiono ślad zaledwie, co dziwnie raziło obok równocześnie noszonych peruk olbrzymich, okrywających głowy ogolone.

Z nastaniem peruk t. zw. „allonge,“ znowu znikł zarost i twarz wygoloną uważano za wyraz mody, pozostawiając tylko mały zarost koło uszu.



Staw miejski w Tomaszowie.

Dopiero w połowie ubiegłego wieku broda i wąsy odzyskały swe prawa. Jedynie tylko starzy lordowie angielscy do dnia dzisiejszego uważają, że najpiękniejszą jest twarz — głodka.

W ostatnich latach weszło w Anglii w modę, przycinanie wąsów tak, aby z lekka osłaniały tylko górną wargę.

Amerykanie, jak we wszystkiem, tak i w tem chcą się różnić od Europejczyków. Noszą brody długie, a wąsy golą starannie. Dziś jednak tego rodzaju „ekscentryczny“ sposób noszenia zarostu zaczyna wychodzić z mody.

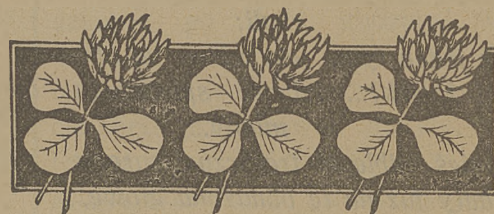
Pogadanka naukowa.

Jak dawno znany jest użytek bawełniany.

Tkaniny bawełniane od niepamiętnych czasów służyły za odzież mieszkańcom Indostanu, sąsiednie jednak ludy, jak również Egipcyanie i Asyryjczycy nie znali ich jeszcze za czasów Herodota, to jest w V. wieku przed Chrystusem. Zaledwo w dwieście lat później bawełna została wprowadzona nad Nil w zachodniej Azyi. W drugim wieku przed Chr. handel tkaninami bawełnianemi był w ręku Arabów, a głównem miejscem ich zbytu był Egipt, skąd mogły się dostać do Grecyi i Rzymu. W VIII. wieku po Chr. Arabowie założyli pierwsze fabryki wyrobów bawełnianych w północnej Afryce i w niektórych miastach hiszpańskich, jako to: Kordubie, Sewilli i Granadzie. W tem ostatniem mieście przemysł bawełniany rozwinął się tak świetnie, że wytwory jego w XIV. w. szły aż do Azyi. W tym samym czasie powstają fabryki bawełniane w Albanii, Macedonii i Medyolanie. Kiedy Hiszpanie odkryli Kubę, Meksyk i Peruwią wszędzie znaleźli tkaniny bawełniane używane od niepamiętnych czasów. Przemysł ten znany był także w Afryce środkowej, Gwinei a w r. 1590 Londyn sprowadzał z Beninu wyroby bawełniane. Chociaż fabryki bawełniane istniały w Europie już od VIII. wieku, właściwie jednak przemysł ten rozwinął się dopiero w XVI. stuleciu. Dzięki poparciu rządu w każdej parafii były warsztaty tkackie, przy których pracowała ludność wiejska, podczas pory zimowej. Materyał surowy sprowadzano wyłącznie ze wschodu, a kiedy w roku 1774 Ameryka przysłała po raz pierwszy ośm pak bawełny, komora celna w Liwerpolu skonfiskowała je, utrzymując, że taka ilość bawełny nie może pochodzić ze Stanów Zjednoczonych. Dziś, produkcya bawełny w samych tylko Stanach południowych wynosi sześć milionów pak.

Wkrótce potem wynalazek przędzalni zapewnił byt temu przemysłowi. Pierwsze przędzalnie w Stanach Zjednoczonych powstały dopiero w 1825 r. W Europie najwięcej fabryk bawełnianych posiada Anglia, drugie miejsce zajmuje Francya, trzecie Rosya, która sprowadza rocznie 360,000,000 funtów bawełny, głównie z Ameryki i z Egiptu.

Niektóre tkaniny bawełniane dotąd jeszcze zachowały nazwy, świadczące o ich pochodzeniu wschodniem. I tak „muślin“ nazwany został od miasta Mossul nad Tigrem, „madapolam“ od miasta tegoż imienia w pobliżu Madras, gdzie dotąd jeszcze istnieją wielkie fabryki bawełniane; nazwa „perkalu“ zaś, pochodzi od portu Calicut na wybrzeżu Malabarskiem, gdzie zawijały okręty europejskie przybyłe po towary.



Marya Konopnicka.

Chłopskie serce!

W tłumie na mrozie stanęła pod ścianą
Okryta starą mężowską sukmaną.
Pół dnia już stała tak nieporuszona,
Bezwładnie oba zwiesiwszy ramiona,
Patrząc upornie na gmach, kędy w sali
Rekrutów strzygli i mundurowali.
W ręku ubogi węzełek trzymała —
Chudoba syna mizerna i licha...
Twarz jej wygasła, pożółkła, zmartwiała,
Jak pustka, była posępna i cicha.
I tylko usta zacięte, drgające
Jakiś krzyk duszy zdradzały ogromny,
Co mógł wybuchnąć dziki, nieprzytomny
I bić w niebiosa i wtrząsać to słońce,
Co bezpromienną i zimną swą głowę
Ukryło kędyś za chmury śniegowe.



Wodospad na rzece Tanwi pod wsią Hamernią pod Tomaszowem.

Sąsiad przemówił do niej: „Pochwalony!“
Odrzekła na to jękiem jakimś głuchym...
Pierś jej w śmiertelnej podniosła się męce,
I znowu wzrokiem błyszczącym i suchym
Patrzała na drzwi zamknięte, przed siebie.
O! pochwalony! O błogosławiony
Bądź ty mi Chryste, co przybite ręce
Rozciągasz ponad wieśniacze zagony,
Z przydrożnych krzyżów! Tyś jest Bog nędzarzy!
Ty liczysz kędyś w błękitnem swem niebie
Wszystko gryzące łzy troski i bólu,
Co żłobią brózdy wśród zwiędłych tych twarzy!
O! pochwalony bądź, boleści królu!
W natłoku z trzaskiem otwarto drzwi sali:
On jeden tylko jest widny jej oku...
Jej Jasiek!... dziwne spostrzega odmiany...
Jakieś odblaski tragiczne, surowe
Padły już na tę obnażoną głowę,
Którą dziś jeszcze ocieniał włos lniany...
Klasnęła w dłonie i w oczy mu patrzy.
Podszedł w milczeniu. Był gibszy i bladszy,
A łzy, co kędyś pod sercem zaległy,
Wielkie i słone po licach mu zbiegły...
— „O matko! — Nie płacz! Pan Jezus przemieni“...
— „Tyś głodny; weź to, posil się na drogę“...
Chleb mu podała; wyjął nóż z kieszeni,
Odkroił kęsek i szepnął: „Nie mogę!
Nie mogę, matko sam!“... Jak chusta zbladła
Lecz rozłamała chleb i z synem jadła

A wtem wydano ostatnie rozkazy,
Marsz zabrzmiał. Jakieś zmieszane obrazy
Łąk, pól i lasów i chaty i wioski
Powiały razem z dźwiękami tej nuty.
— Hej!... Nie zobaczyć już tego w żołnierce! —
Powstał zgiełk i lament... Jaśka tylko matka
Bez łzy, bez skargi trwała do ostatka,
Zwróciwszy oczy smutne, pełne troski,
Na drogę, którą miały iść rekruty...
Nagle, jak gdyby zawiodła ją siła,
Syna rękoma za piersi chwyciła...
— „Dziecko!...“ krzyknęła raz tylko i zbladła
I zatoczyła się — i martwa padła...
Mówiono, że jej pękło chłopskie serce.





C. Schwartz.

Kapelusz Elizy.

Wspaniały to był kapelusz, prawdziwy poemat... Jedwab, kwiaty, upięcie, a nadewszystko ten okazały bukiet. Najnowszy model paryski... Wszystkie panie i panny stawały oczarowane przed wystawą, gdzie ten cud mody królował wśród innych modnych kapeluszy.

Złotowłosa Eliza codziennie kilkakrotnie zmuszona była przechodzić obok tej wystawy. „Ach myślała — gdybym mogła kupić ten wspaniały kapelusz“. Na ufryzowanych, bujnych, złotych włosach, okalających śliczną, różową twarzyczkę, ten kapelusz, na kształt kielicha, koloru lila, stanowiłby wspaniałą, stylową ozdobę, coś prześlicznego, nie do opisania! Nawet w snach nie mogła już złotowłosa Eliza pozbyć się myśli o cudownym kapeluszu. Chłodna rozwaga usiłowała jednak walczyć z temi tęsknemi marzeniami; kupno kapelusza pochłonęłoby całe miesięczne utrzymanie. Tak, ale dlaczegóż choć raz w życiu nie mogła stać się przedmiotem zachwytów — i zawiści całego świata kobiecego?

Przez dwa dni fermentował w niej ten zamiar. Wejdzie do magazynu i zapyta się, co kosztuje kapelusz; przecież to do niczego nie zobowiązuje. Nakoniec, uczuwszy potrzebną odwagę, wykonała swój zamiar. Weszła z miną wyniosłą, jak gdyby miała tysiące w kieszeni. Magazynierce dość było jednego krytycznego spojrzenia na skromny, czarny ubiór Elizy, aby domyślić się prawdy.

— Paryski model, nieprawdaż? — zapytała chłodno.

— Tak.

Magazynierka nie zrobiła jednak najlżejszego ruchu, aby ten cudny model przynieść z wystawy. „Przecież ta go nie kupi“ — pomyślała.

— Ile kosztuje?

— Sześćdziesiąt marek — odpowiedziała magazynierka tonem najpobłażliwszym w świecie, a w jej oczach przebłysnął wyzywający wyraz.

Ale Elizie nie drgnęła nawet powieka, gdy wznosiła głowę do góry, mówiąc:

— Chciałabym przymierzyć kapelusz.

Subtelnie ironiczny uśmiech magazynierki, a za chwilę swemi anemicznemi palcami wkładała na złotowłosą główkę Elizy żądany kapelusz. Stroił ją znakomicie! Leżał, jak gdyby zrobiono go umyślnie dla tych falistych, jedwabistych, bujnych włosów, które pod nim błyszczały złocisto.

Ładnemu dziewczęciu biło serce z radości. W wiszącem na przeciwległej ścianie sklepu zwierciadle promieniała powabna twarzyczka. Czy to ona? Ach, jakże jest piękna! Teraz żadna cena nie wydałaby jej się za wysoka!

Patrzała w zwierciadło, przybierając różne pozy: En face, z profilu, z tyłu. Potem rzekła rezolutnie:

— A więc biorę kapelusz.

Magazynierka zaledwie zdołała pohamować objawy zdziwienia, gdy Eliza wspaniałym ruchem wręczyła kasyerce trzy dwudziestomarkówki.

Przed drzwiami magazynu natychmiast wsiadła do tramwaju i odjechała w błogim nastroju z czarnem kartonowem pudełkiem.

* * *

Nadeszła niedziela. Słońce oświecało ziemię przyjaźnie. Jeszcze raz w późnej jesieni łagodne pieszczotliwe powietrze budziło w całej przyrodzie burzliwą radość. W parku miejskim. rój publiczności. Elizę ożywiały błogie uczucia. Z jakąż dumą przechadzała się w swym fijołkowym kapeluszu! Dzisiaj budziła zazdrość. Czuła wesołość, gdy się każdy za nią oglądał i za tym wspaniałym kapeluszem. Posłyszała nawet rozmowę dwóch panów poza sobą:

— Do dyaska, ślicznie wygląda!

To też uśmiechnęła się radośnie do swego towarzysza.

— Jesteś dziś niezmiernie dumna, Elizo! — rzekł Artur, ujmując ją pod ramię.

— Nie podobam ci się? — zapytała z szelmowskim błyskiem oczu.

— Zawsze mi się podobasz.

— Dzisiaj szczególniej?

— Ach, tak, z powodu tego fijołkowego kapelusza? Naturalnie, jest przepyszny. Kosztuje pewnie moc pieniędzy?

— Tak sześćdziesiąt marek.

— Sądzę, że nieco za drogi.

Wzruszyła ramionami.

— Dlaczego nie można być raz lekkomyślną? Czyż zawsze trzeba sobie skąpić! To już nie uchodzi w świecie. Po przemęczeniu się przez cały miesiąc, czyż nie można raz zrobić coś niezwykłego?

— Ale dla mnie jest to rzecz zadziwiająca.

— Ach, pfe! Tak się cieszyłam z dzisiejszego dnia. Powinieneś podziwiać mnie i myśleć: „Ta Eliza jest najlep-

szą, najpiękniejszą dziewczyną! Będę dla niej miłym — i..."

— Hm — i...

— Arturze, nie wiem, co ci się dzisiaj stało. Jesteś tak zimny. Czy sprawiłam ci jaką przykrość?

— Nie, nie, Elizo.

—Nie chcesz być ze mną szczerym.

Rozmowa urwała się i pomimo wszelkich zachęt, Artur nie odzyskał wesołego nastroju, złotowłosa Eliza zas, chociaż miała przecudny kapelusz, przecież przestała odczuwać zadowolenie z niego.

* * *

Teraz Eliza jest w domu. Chowając w szafie swoją fijołkową ozdobę, uśmiecha się rozmarzona... Dzisiaj Artur był troszkę poważny i zamyślony, ale to bagatela! Ostatecznie gdy mężczyzna zadaje sobie pytanie: ożenić się lub nie?

Od dawna spodziewała się, — nawet było to jej tęsknem pragnieniem, wyjść za Artura. Zarabiał ładne pieniądze i mógł założyć ognisko rodzinne, Artur zwlekał jednak ciągle stanowczo oświadczyny. Postanowiła więc nieco dopomódz swemu nieszczęściu. To też gdy nazajutrz nadszedł list od Artura, Eliza uśmiechnęła się spokojna, zadowolona.

— Nie może się odważyć na ustne oświadczyny, więc pisze.

„Kochana Elizo! — brzmiał list. — Nie gniewaj się, ale nie możemy się pobrać. Posłuchaj. Czyż ja mogę myśleć o żonie, która nosi tak drogie kapelusze? Potem, jesteś dla mnie za ładna i zbyt lekkomyślna. Chciałbym ożenić się ze zwykłą, skromną panną. Umiesz być okazałą, potrzeba ci więc okazałego męża. Noś swój fijołkowy kapelusz z wielką przyjemnością. Ja zaś jestem zadowolony, że go już nigdy więcej nie zobaczę. Popsuł mi wczoraj wesoły nastrój. — Artur."

Eliza zbladła, drżała. Ale wkrótce energicznie otrząsnęła się z wrażenia:

— Ach, głupi, niedorzeczny mężczyzna! Bez gustu!

Usiłowała się pocieszyć. Napróżno. Co gorzej, od tego dnia znienawidziła swój nowy piękny kapelusz i nigdy go już więcej na swą złotowłosą główkę nie włożyła.

Ostygłe pogaństwo nie przestaje gnębić życia chrześciańskiego, ale to życie weźmie nakoniec górę.

Adam Mickiewicz.

Lepsza jest uboga mądrość, niż głupie bogactwo.



Dla mego zdrowia.

(Humoreska.)

Z pamiętników samokura.

Silny jak lew, a zdrów zawsze — Bogu dzięki — jak ryba, żyłem sobie bez troski na świecie. Nie znałem bólu głowy, dolegliwości żołądka, reumatyzmów, nerwobolów — słowem, koń pociągowy mógł mi pozazdrościć mego zdrowia...

Aż — pewnego razu spotyka mnie pan Grzębski.

Kopę lat! — krzyknął z daleka — kopę lat nie widziałem pana dobrodzieja!... Świetnie pan wygląda! doskonale!

— Nie źle, nie źle!

Pan Grzębski cofnął się o dwa kroki.

— Tylko... hm! ten brzuszek zaczyna się dyablo zaokrąglać... O to źle! przed czterdziestu zatyć — niech ręka boska broni!

— Dlaczego to?

— Dlaczego! oto dlatego, że zaraz przyjdzie astma, katar żołądka, a co gorzej i prawdopodobniej zatłuszczenie serca.

— Co pan powiada!...

— A tak, panie dobrodzieju! A potem jedna minuta... ściśnie, zaboli i — fajt!

— Fajt!?...

— A tak! fajt! panie dobrodzieju!

— Cóż radzić na to?

— Widocznie za mało pan masz ruchu. Na rowerze jeździ pan często?

— Wcale nie.

— Otóż macie! Jedna, jedyna racyonalna komocya, panie. Ja mam aż dwa rowery. Mogę panu doskonale koło odstąpić za pół ceny.

Przerażony złowrogim „fajtem" — nie namyślałem się długo; za godzinę miałem rower, za dwie wziąłem pierwszą lekcyę, a za dwa tygodnie uganiałem jak wicher po zakurzonych ulicach miasta.

Pewnego pięknego poranku usłyszałem, że mnie ktoś woła z chodnika. Skręciłem na lewo lekko zeskakując z koła; stał przedemną pan Grąbski.

— A! co to pan dobrodziej najlepszego wyrabia? Taki sport szkodliwy dla zdrowia uprawiać teraz, w tym wieku?

— Jakto? rower, to sport szko...-dli...wy? Przecież to najracyonalniejsza komocya... jedyny, najlepszy sposób przeciw zatłuszczeniu...

— Ta! ta! ta!... opowiadanie! aż jednego razu przyjdzie na ulicy atak sercowy — i fajt!

Dreszcz mnie przeszedł!... Znowu fajt?

— Jakto? bąknąłem — to bywa?

— A bywa, panie, i to bardzo często! Jazda na rowerze jest dla serca fatalna.

— Ależ przeciw zatłuszczeniu...

— Przeciw zatłusczeniu niema nic lepszego, jak zimne kąpiele. Pływasz pan?

— Pływam. Ale...

— Niema ale! Co dzień pół godziny pływać. Nabierze pan siły, lekkości i zdrowia. Pa!

Czegóżby człowiek dla swego zdrowia nie zrobił?... Młoda żona, dzieci... żyć dla nich trzeba, a więc i utrzymywać to życie.

Zarzuciłem koło i pływałem co dzień — po dwie godziny! Czego dobrego — nie za wiele. Po dwóch tygodniach jednak zauważyłem, że bicie serca przez rower nabyte, nie polepsza się... Byłem czegoś cały jak o ścianę potłuczony i reumatyczne bole ozwały się nagle w rękach i w nogach!

— Jezu miły! Co począć?... Na szczęście spotkałem pana Grzybskiego, który wyśmiał serdecznie całe moje pływanie.

„ — Ależ wodna kuracya — zaoponowałem — wodna...

— Furda, panie!... Wodna?... Owszem! Ale nie w rzece, i nie męczyć się godzinami! Wodna kuracya — to Kneip! Zimne tusze dwa razy dziennie i na noc mokre skarpetki na nogi!

Rozjaśniło mi się w głowie!... Oczywiście! Woda, to Kneip.

Kupiłem wannę, rurkę gumową przyczepiłem do wodociągu w kuchni i polewałem sobie piersi z krzyżami. Skarpetki mokre na nogach w nocy także zrobiły swoje i — za tydzień oczu nie mogłem otworzyć z kataru!... Głos ze mnie wychodził jak z wyschniętego klarnetu, a kichałem, że kamienica trzęsła się w posadach!...

Szczęściem —odwiedził mnie pan Grubski.

, — Co pan najlepszego robi? — wrzasnął przerażony — śmierci pan szuka koniecznie? Rzuć pan do licha ten cały od lekarzy dawno zdemaskowany knajpowski szwindel, a weź się pan do bawełny!

— Jakto, panie? — spytałem nie rozumiejąc.

— Tak, że trzeba sobie kupić normalną bawełnianą bieliznę. To podnosi czynność skóry, otworzy zamknięte

owemi tuszami pory ciała i wszystko wróci do normalnego stanu. Ale trzeba również przestać jeść trupy zwierzęce, a żywić się jak natura wymaga — roślinami.

Kupiłem tuzin koszul bawełnianych i tego samego dnia zjadłem w jarskiej kuchni obiad z pięciu jarzyn, poczem głodny jak wilk nakazałem żonie w domu gotować tylko po wegetaryańsku.

W trzy tygodnie zobaczył mnie pan Grabski.

— Jezusie Maryo! — wrzasnął odskakując odemnie — a pan jak wygląda?

— Jakto? — szepnąłem przestraszony. — Czy źle!...

— Co panu? Pan po chorobie?

— Nie!... po kuracyi ostatniej.

— I jarskiem jedzeniu! Domyślam się. A ile pan waży?

— Ja?... ważyłem się, przed dwoma miesiącami miałem 67 kilo.

— Chodź pan do kupca.

Zaciągnął mnie do wagi — języczek wskazał 50 kilogramów.

— Widzi pan?!... a wie pan, że 45 kilo to najniższa normalna waga mężczyzny? Szesnaście kilo stracić przez dwa miesiące! Jeszcze z tydzień przyjdzie z pańskiej jarszczyzny zwapnienie aorty albo suchoty i — fajt!

— Nie mogłem podnieść się z wagi!... Fajt! „Fajt“ widać przeznaczony mi koniecznie!... Pan Grabski spostrzegł moje zmieszanie.

— No — rzekł do mnie — niema nic straconego, póki się niżej 45-ciu kilo nie spadło. Teraz tylko krwawe bifsztyki po angielsku jeść i monachijskie piwo z pięć bomb dziennie wypić, a wszystko będzie dobrze.

Istotnie za trzy tygodnie przybyłem i wyglądałem pysznie, tem bardziej, że za poradą pana Grabskiego hantlowałem 25-cio kilowemi ciężarkami codziennie rano i wieczór. Ale cóż!... Spotkałem pana Grymskiego — a ten mi jak na dłoni wykazał, że: pro primo w sali Sokoła skutkiem gimnastyki powstaje kurz, którego bakcyle są zabijające; pro secundo bawełniana bielizna draźni i rozpala skórę; pro tertio mam wadę klapy sercowej z rowera, reumatyzm z wody, bledniсę z jarskiej kuchni — i jeżeli nie przejdę kuracyi cytrynowej, która sama jedna wszystkie te choroby wyleczy — to będzie fajt!

Teraz już naprawdę się zląkłem! Kupiłem broszurę w księgarni i trzy cytryny na początek. Kwaśne to było, ten sok z nich wyciśnięty, ale — mlasnąłem językiem. Drugiego dnia po pięciu cytrynach uczułem wyraźnie, że krew się czyści!... Nabrałem ducha — widziałem przyszłość różową, pełną cudów i cytryn... Trzeciego dnia wypiłem ośm cytryn — a czwartego po dziesięciu leżałem pół godziny na sofie bez ruchu.

Piątego dnia dostałem halucynacyi, że dolne zęby wyrosły mi wyżej nosa, a górne zwisły aż na brodę! Szóstego dnia po wypiciu przywidział mi się Mefisto, dławiący mnie za szyję — siódmego dostałem febry — ósmego już żona wlewała pół omdlałemu kwas ten w usta — a za to dziesiątego wpadłem w szał ostry i wyrzuciłem wszystko tj. cytryny, szklankę i wyciskaczkę za okno!

Trzy tygodnie przychodziłem do siebie po wszystkich tych kuracyach — a ponieważ nie leczyłem się przez ten czas wcale, wróciłem do sił i do znakomitego wyglądu...

Nic mnie znów nie boli, nic mi nie brakuje, zaprzysiągłem się tylko na wszystkie świętości — nigdy w życiu nic nie przedsiębrać... dla mojego zdrowia.

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 4-go grudnia 1422 śmierć Mikołaja Trąby, arcybiskupa gnieźnieńskiego. — 1583 organizacya Inflant. — 1653 bitwa z Kozakami pod Zwańcem. — 1783 pożegnanie Kościuszki z Waszyngtonem.

Dnia 5-go grudnia 1677 sejm potwierdza ugodę Żórawińską. — 1830 Chłopicki bierze dyktaturę.

Dnia 6-go grudnia 1450 Kazimierz Jagiellończyk godzi poróżnione stany. — 1661 zniesienie Rosyi pod Gołębiem. — 1831 utworzenie w Paryżu pierwszego Komitetu polskiego.

Dnia 7-go grudnia 1516 bitwa z Tatarami pod Międzyborzem. — 1615 Chodkiewicz hetmani koronnym i litewskim wojskom. — 1724 haniebne dysydentów toruńskich śmiercią karanie. — 1842 śmierć senatora Tadeusza Mostowskiego.

Dnia 8-go grudnia 1410 Ziemia spiżska w zastawie do Polski przyłączona. — 1500 przymierze z Turkami. — 1632 Władysław IV. ogłoszony królem. — 1726 poczynione ulepszenia w sądownictwie. — 1794 Moskale zajmują Warszawę.

Dnia 9-go grudnia 1674 bitwa z Turkami pod Chocimem. — 1697 książę Conti odparty odpływa z pod Gdańska.

Dnia 10-go grudnia 1657 W. książę pruski dostaje w zastaw Drahim i Bytów. — 1812 Napoleon w Warszawie.

Humor i satyra.

Fraszka.

Spytał baby na polu turysta nibyto:
„Na cmentarz krótką drogę pokaż mi kobieto?“
Baba, wzrok nań rzuciwszy sowy lub upiora,
Pokazała mu palcem... mieszkanie doktora.

* * *

Wyrachowany.

— Jeśli pan jesteś żonatym, jak to opowiadasz, dlaczegoż sam zwykle chodzisz do teatru?...

— Bo z żoną to podwójny koszt, a... połowa przyjemności...

* * *

Przezorny.

— Proszę pana Japtykarza maści od pobicia.

— A na cóż to wam, przecież nigdzie nie macie żadnego skaleczenia.

— Tak, widzi pan japtykarz, — ale jutro jedziewa na jarmark...

* * *

Monolog „wstawionego.“

...Z pewnością pierwszy grzech popełniła kobieta, chodziło o to bowiem, aby zjeść i gdyby grzech pierworodny popełnił mężczyzna — chodziłoby o to, aby wypić.

* * *

W sądzie.

— Podsądny, jesteś człowiekiem zupełnie zepsutym! Musiałeś chyba obracać się w złem towarzystwie?

— Panie sędzio, od 18-go roku życia tylko ciągle z sędziami mam do czynienia...

* * *

Wytłomaczyła.

— Proszę mamy, jak to rozumieć, że Minerwa wyszła z głowy Jowisza?

— To znaczy, że Jowisz przestał o niej myśleć.

* * *

Prawdziwa bieda.

— Jakto, pan już po raz trzeci żonaty?

— Cóż robić! Na świecie jedno nieszczęście nigdy nie przychodzi, zawsze za niem idzie drugie i trzecie...

* * *

Ma głos.

— Panie Pirogiewicz, co pan opowiadasz po mieście, że będziesz śpiewał na koncercie, kiedy pan wcale nie masz głosu...

— Przepraszam, jestem członkiem w towarzystwie bratniej pomocy i mam tam głos...

Krótka pamięć.

Pan Iks ożenił się z panią Iksową, która z biegiem czasu obdarzyła go ośmnastoma pociechami. Pewnego dnia, wracając do domu wieczorną porą, spostrzegł pan Iks na ulicy małego chłopczyka, rzewnie płaczącego.

— Dla czego płaczesz, moje dziecko? — zapytał troskliwie.

— Bo, bo nie mogę trafić do domu, — odrzekł chłopczyna, zanosząc się od płaczu.

— To chodź ze mną, moje dziecko, dam ci coś do zjedzenia, a później odszukam twoich rodziców.

Litościwy Iks zabrał dzieciaka do domu, i oddając go swojej żonie rzekł:

— Patrz, duszko, przynoszę ci dziecko, które znalazłem na ulicy. Jedno więcej, lub jedno mniej nie zrobi wielkiej różnicy; przygarniemy go do siebie i będziemy uważali za swoje własne.

— A ty głupi człowieku, wrzasnęła żona, czy go nie poznajesz? Przecie to nasz Adaś!

* * *

A to im zaimponował!...

Zadzwoniono po raz ostatni i pociąg ruszył.

W tejże chwili na peron stacyjny wbiega jakiś jegomość i usiłuje wtargnąć do wagonu...

— Hej, panie! Co pan robisz?... Nie wolno!... Pociąg w ruchu!... Zapłacisz pan karę!... — wołała nań służba kolejowa...

— Karę zapłacę? Powaryowali! A czy wy wiecie, bałwany, z kim macie do czynienia?... — krzyknął butnie pasażer, i w oczach zdumionej służby, dostawszy się bez przeszkód do wagonu, kończy przez okno:

— Z pasażerem III-ciej klasy, gamonie!...

* * *

Poszukiwanie.

Mąż mój Ignacy Potulski wyszedł przed tygodniem w gniewie z domu i nie powrócił jeszcze. Ubrany był skromnie, blondyn średniego wzrostu. Znaki szczególne: podbite lewe oko i na obu policzkach znaki od podrapania.

Ktoby o nim wiedział niech raczy łaskawie zawiadomić stęsknioną jego żonę.

Przysłowiówka.

Nadesłał czytelnik „Pracy“ Bartek z nad Warty.

I Zakopane Tyńci o skoku.

Ułożyć znane polskie przysłowie.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 8-go grudnia włącznie.

Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nam nadeślą dokładne rozwiązanie powyższej przysłowiówki.

Rozwiązanie szarady z nr. 47-go:

Prenumeratorowie.

Dobre rozwiązanie nadesłali do dnia wyznaczonego terminu t. j. do dnia 24-go z. m. następujące osoby:

Z Poznania: pp. Aniela Szpingier, M. Andruszewski, art. dram. teatru polskiego, Marya Tuchołka, J. Borys.

Z prowincyi: pp. Józef Wypych z Kościana (rozwiązał także zagadkę z nr. 46-go: Katarakta), Janina, Zofia Stachowska i Anna Hofman z Grodziska, Julian Lange z Mogilna, Stanisław Rychlicki z Krotoszyna, Jaroch Czabański z Zaniemyśla, Br. Sikorski z Pleszewa, Franciszek Chytry z Rawicza, Dr. Żmidziński ze Skalmierzyc, M. Sławińska z Zembowa, Aleksanderek z Wiatrowa, K. Śmigielski z Chabska, Stanisław Pietrzak z Strzyżewa kościelnego, Konstancya Kolańczyk z Kowalewa pod Pleszewem i Władysława Kajak z Czacza następującym udatnym wierszykiem:

3. 6. 7. **Merowie**, urzędnicy, wielką władzę mają
bo parom zaręczonym, ślub cywilny dają
2. 4 **Nura** gdy da konkurent, próżne płacze żale
Panna musi da capo zwiedzać rauty, bale
3. **Em** litera, niech będzie, lecz tylko w wymowie
5. **To** gdy palcem pokażą, toć się każdy dowie.
1. **Pre** co znaczy, nie dojdziesz z polskiego języka
Chyba, że się zapytasz, o to łacinnika.
By, zaś „Praca“ całości miała całe mrowie
Życzą tego wszyscy, prenumeratorowie.

Z Prus Zachodnich: pp. Irena Nowacka z Sopot, Marya Pawłowska z Zakrzewa.

Z Prus Wschodnich: p. Stefan Janowski z Rodelshöfen pod Brunsbergiem.

Z Górnego Śląska: pp. Wiktor Polak z Bobrku, Jan Badura i Berta Badura z Roździenia.

Z Galicyi: pp. Hipolit Wodecki z Ropczyc, Kazimierz Bielski z Czulic, Anna Rejman z Łąki.

Z obczyzny: p. Leon Mąkowski z Witten.

Nagrodę otrzymali: pp. Julian Lange z Mogilna, K. Śmigielski z Chabska i Władysława Kajak z Czacza.

Ładny doktór.

— Co, doktór tutaj?

— A tak.

— Na długo?

— Na zawsze.

— A przecież doktór mieszkał stale w X.

— Tak, ale widzi pan, nie mam tam co robić, gdyż tam wszyscy moi pacyenci już powymierali.

NASZ KĄCIK.



Paula Wężyk.

Jasełka.

(Ciąg dalszy i dokończenie.)

Wieśniak roztwierając drzwi szeroko:
O, niebożęta chodźcież tedy prędzej!
Któż jak nie Jezus zlituje się nędzy?
Smutneć to dary ten wasz żal i łezki,
Ale je złóżcie dziecinie niebieskiej!

(Wchodzi czworo dzieci z książkami w ręku i klękają razem do koła żłóbka, kolejno mówiąc składają swoje dary. Te dzieci szkolne mogą przedstawiać albo same dziewczynki, albo też dwie dziewczynki i dwóch chłopców.)

1. Dziecko szkolne.

O, nasz Jezusku, słodkie Dziecię Boże,
Przyszliśmy tutaj nieśmiało, w pokorze,
Pozdrowić Ciebie w tym ubogim żłobie,
Na biedę naszą poskarżyć się Tobie,
Tyś także biedny i jak my malutki,
To pojmiesz nasze niedole i smutki
I zmienisz może w radość nasze żale.
Już po naszemu nie uczą nas wcale,
A kiedy pojąć nie możemy wiele,
Bo takie trudne są te obce zgłoski,
To ostro karzą nas nauczyciele.
O, zmień że los nasz słodki Synku Boski!
My nic nie mamy, lecz niesiem Ci w darze,
Te trudne, obce nam elementarze,
Bo na nich widne są łez naszych ślady,
Jezusku, Dziecię, pomocy i rady!

2. Dziecko szkolne.

O, nasz Jezusku, to historya święta,
Co to o Tobie opowiada cuda,
Czyż ją z nas które pojmie i spamięta,
Czyż nam ją w sercach zachować się uda?
O nie, Dzieciątko! My Cię duszą całą
Kochamy zawsze serdecznie i szczerze,
Ale tak mało znamy Cię, tak mało,
Nieoświeceni my w najświętszej wierze,
Bo nas historyi w obcej uczą mowie,
Co to nie utkwi ni w sercu, ni w głowie.

3. Dziecko szkolne.

Ja ten katechizm, o maleńki Boże,
Także u stóp Twych jako dar mój złożę
A nuż go zmienisz w cudach niepojęta
Na nasz, na polski, o Dziecino święta?
Bo już na prawdę, trudno ponad miarę
Język się plącze i przekręca zdanie,
Nad polskiem dzieckiem ulituj się Panie!

4. Dziecko szkolne.

Ach, takbym chciała o Dzieciątko małe,
Zanucić Tobie piosenkę na chwałę,
Lecz jak kamieniem dziwny ból pierś gniecie
Wstyd mi, nie umiem polskich kolend, Dziecię,
Bo nas ni polskiej nie uczą powiastki,
Ani piosenek, co takie są piękne,
Więc, gdy dziś błysnął promień Twojej gwiazdki
Chyba tu z cichą prośbą mą uklęknę;
Tak pusto, zimno i obco w tej szkole,
Zkąd naszą mowę prześliczną wygnano,
Chmura przestrachu siada na mem czole
I z ciężkiem sercem wracam tam co rano.
Lecz kiedy iść tam muszę już koniecznie
Pójdę błagając Ciebie, o Dziecino
Z całej mej duszy, szczerze i serdecznie:
Niechajże Panie te złe dni przeminą!
Ślę dziś do Ciebie prośbę moją łzawą,
Ojczystej mowie przywróć dawne prawo!

(Gdy dzieci skończą chwilę trwa milczenie, później znów Anioł występuje i mówi wolno i poważnie.)

Anioł.

Zstąpiło na świat Dzieciątko Boże
I wśród was grzesznych na ziemi gości,
W ubogim żłobie złożon w pokorze
Zbawiciel świata i Bóg miłości.

Wzgardził pałacem, ażeby echo
Głosiło wszędzie, wszędzie po świecie,
Że pod słomianą, ubogą strzechą,
Na świat przybyło najświętsze Dziecię.

O, bądźcie dumni z waszej niedoli,
Bo Jezus stan wasz podniósł wysoko,
Niech was ubóstwo wasze nie boli,
Ani łzą żalu niech nie lśni oko.
Ten Bóg niedoli, kocha niedolę!
Jak w Betleemie zrodził się w żłobie,
Tak wszędzie w świecie, gdzie są łzy, bole,
Tam on siedlisko obiera sobie.

Odwagi dziatki, choć serca małe
Bolą was czasem, choć płyną łezki,
Znoście to wszystko Bogu na chwałę,
Za to nagrodzi was Pan niebieski

Promyczkiem słonka łzy te z obliczy
Zcałuje Jezus, wszystkie osuszy,
Wszystkie spamięta i wszystkie zliczy,
Złotą pogodą błyśnie wam w duszy.

Więc dziś nie pora rozsiewać troski,
Dziś niech wam oczy śmieją się szczerze,
Oto się zrodził Jezus, Syn Boski,
Którego Bóg wam zsyła w ofierze.

Chodźcie, hołd nieście pieśnią, co wzlata
Ponad pył ziemski, ku wysokości:
„Chwała Ci Zbawco całego świata,
Chwała Ci Jezu, Boże miłości!“

(*Wieśniak i Wieśniaczka* stojąc z boku i z rozrzewnieniem wysłuchawszy słów *Anioła* zaczynają śpiewać „Gloria, *Dzieci* klęczące przy żłóbku wtórzą im: prześpiewawszy jednę zwrotkę milkną; we drzwiach wchodowych ukazuje się wolniuteńko zbliżając się postać rycerza. Hełm i napierśnik zrobiony z tektury i nalepiony srebrnym papierem, długi, szeroki płaszcz, zarzucony na ramiona.)

Dzieci szkolne razem, głośno, patrząc ku niemu i tuląc się do siebie:
W tę noc cudów, w tę noc czarów,
Tajemniczej, świętej siły,
Cień rycerza z głębin jarów,
Powstał cicho z swej mogiły.
Powstał cicho cień rycerza,
Co padł ongi z rąk Krzyżaka,
Spływa ku nam, do nas zmierza,
Jak na lekkich skrzydłach ptaka.

Rycerz zwrócony do publiczności:
Tam, hen, na grunwaldzkiej ziemi
Padłem tknięty śmierci strzałą,
Krwi kroplami gorącemi
Och, jak wieleż się tam lało.
Lecz nam wszystko było miłe,
Bośmy pewni byli wtedy,
Żeśmy zgnietli wrogą siłę,
Że nie wróży już nic biedy.
A tymczasem, wśród mogiły
Spać nie daje wasza skarga,
Bo się zmogły złego siły,
Wasze serca rozpacz targa...
Wstałem — jestem o rodacy,
Z pod Grunwaldu ja cień biały,
Wzywam was do pilnej pracy,
By w was serca nie skarlały.
O rodacy, w górę głowy,
W górę serca, kształćcie dzieci
I dla *„Czytelni ludowej“*
Niech wam w duszach zapał świeci!
Wszak to jedyne ognisko,
Co ogrzeje dziatwę waszą,
Stańcież przy niem, stańcie blisko,
Bo serca w dzieciach wam zgaszą!
Na Chrystusa tego w żłobie,
Brońcie ognia, co w nich płonie,
Ludu, z prośbą ja ku tobie
Tam, z za grobu wznoszę dłonie.
I w bolesnej mojej trwodze
Ręce wznosząc cicho proszę:
Gdy dziateczki cierpią srodze,
Na *„Czytelnie“* dajcie grosze!

(*Rycerz* zdejmuje hełm i wyciąga go ku widzom.)

Koniec.



KAMIENNA WOLA.

POWIEŚĆ.

12)

(Ciąg dalszy).

— Poczciwa Jadwisia!... szeptał—zlękła się tak, abym przypadkiem nie pokochał się od razu, natychmiast.... Uśmiechał się na tę myśl żartobliwie niby, ale w sercu robiło mu się smutno, smutno, jak gdyby się rozstawał z czemś, co mu już miłem być zaczynało, co mu się już do serca chciało cisnąć.... Gdy podniósł oczy spostrzegał natychmiast przed sobą w drżącej gwiazd łunie dziewczynkę wysmukłą, tak zupełnie smutną, jak on był smutnym; płynęła przed nim gdzieś w dali eterycznej, czasem na niego błękitne oczy z pod czarnej rzęszy podnosząc. Była raz chwila, że mu się zrobiło do niej tęskno niezmiernie; rąk ku ulatującej nie wyciągnął, bo byłby musiał cugle puścić, ale o mały włos, zamiast w bok drogą do Kamiennej Woli, nie pojechał prostą drogą ku miasteczkowi. Choć się opamiętał, jeszcze go tam coś gwałtem ciągnęło, zdawało mu się, że chciałby niezmiernie zobaczyć miasteczko w cieniach nocy już usypiające zapewne. Musiał nawet pewnego wysiłku woli użyć, aby tego nie zrobić i teraz znowu konia prędzej popędził, a gdy wyjechał wkrótce na pola Kamiennej Woli, krajobraz wydał mu się przy mdłem gwiazd świetle posępnym bardzo. Tak mu się ta wioska w oddali jeszcze leżącą, wydała dziwnie osamotnioną, i to uczucie samotności ścigało go już wciąż aż do domu samego. I dworek jego mały, podwórze, nawet stary dąb z Matka Boską samotnym mu się równie wydał — samotnym, smutnym, czegoś rozżalonym gorzko....

Chłopiec Marcinek, który przy nim służbę lokaja pełnił, czekał go ze światłem i gdy Jan wszedł do oświeconego pokoju, przetarł oczy jak po śnie długim. Na stole koło świecy leżały gazety z poczty nadeszłe i Jan też zabrał się zaraz do przeglądania, kazał sobie jeszcze herbaty zrobić i czytał ze dwie godziny. Gdy przecież do łóżka kłaść się zabierał, odpędzone czytaniem myśli wróciły. Doznałem istotnej przykrości — pomyślał — najlepsza ta siostra moja, która ma sama w piersi serce zranione, tak się w troskliwości swojej zatrwożyła, aby i jej brata biedaka podobny los nie spotkał i ostrzedz chciała wcześnie, a mnie tak to dotknęło zaraz — dotknęło mnie uczucie tego położenia nowego, do którego jeszczem się nie urobił... Ubogi człowiek musi koło bogatych ostrożnie chodzić, a mnie pyszałka, zabolało przypomnienie o tem...

— I zdawało mi się przez chwilę, żem się w tej dziewczynce z błękitnemi oczyma istotnie już zakochał, że mi ją wydzierają okrutnie — dodał sobie z uśmiechem smętnym. — Człowiek to taka istota sprzeczności pełna, a główrie istota taka przymusu nieznosząca i buntująca się pod nim natychmiast!!

I długo przy gwiazdach, które mu przez szyby niewielkich jego okien mrugały, myślał o naturze człowieka, o smutnem położeniu tego, który jest skrępowany nawet wobec uczucia takiego, jak miłość!....

Miłość! A on czy kochał kiedy? Nieraz mu się podobała jakaś ładna twarzyczka dziewczęca, nieraz go pociągała jakaś wdzięczna, sympatyczna postać kobiety, było kilka chwil zajęcia się przyjemnego, ale tego, coby w sobie za uczucie miłości uznał, tego nie miał w sercu nigdy... Przecież w przeszłości jego istniało jedno upodobanie silniejsze, żywsze nad inne, a datujące od lat niemal chłopięcych. O miedzę od Kamiennej Woli właśnie była piękna wieś duża, Podlesie, w tej wsi piękny dwór, a raczej piękny pałac wysoki, a w pałacu rosło najpierw śliczne dziewczątko czarnookie, potem wyrosła panna dla Jana nad wyraz powabna, którą on od dziecka tak nad inne towarzyszki swoich chłopięcych zabaw przekładał, że ich wtedy żartobliwie mężem i żoną zwano. Matka — a panienka ojca już nie miała — była niebardzo daleką krewną pani Piotrowej, i dwa te domy żyły z sobą w stosunkach bardzo serdecznych, choć wielka zachodziła między niemi różnica. Jak dwór w Podlesiu zwał się pałacem, tak pani Podleska była w nim jaśnie panią i nawet mawiała w sąsiedztwie, że gdyby chciała, mogłaby nosić tytuł hrabiny, który jej się prawnie należy, a który tylko rodzina jej męża porzuciła, choć inne gałęzie tego samego rodu używają go bezspornie. — Są — opowiadała nieraz p. Piotrowej — hrabiowie Podlescy w Galicyi, od stryjecznego brata mego męża idący; jest jeden hrabia Podleski już bliżej, bo w Krakowskiem, który też do rodziny należy. Tylko dziad mego męża miał być podobno takim demokratą wielkim i on zapewne zaniedbał tytułu rodzinnego.

Było do tego hrabiowskiego splendoru dziedziców dwoje: córka, starsza i brat o parę lat młodszy. Córka Wanda, panienka czarnooka bardzo zawsze Jana pociągała do siebie, a nawet panowała nad nim trochę, choć za lat chłopięcych Jan był najtwardszego usposobienia, najkrnąbrniejszej natury ze wszystkich małych paniczów okolicznych i gdyby go był kto chciał siłą zgiąć, zaliczyć by go było trzeba do tych, którym nie witka, ale dębowy korbacz się należy. Jana przecież byłby może i korbacz nie przemógł, ale panna Wanda, jeszcze Wandeczką będąc, umiała go zręcznie na jednym swoim włosku prowadzić. Było między nimi cztery lata różnicy i gdy czternastoletni gimnazyasta w domu z wielką dumą swój uczniowski mundur nosił, i nieraz do koleżeństwa starszych braci butnie się darł, koniecznie porówni z nimi konia i fuzyi się chwytając w Podlesiu do towarzystwa dziesięcioletniej Wandeczki natychmiast przystawał i gotów był za nią, jak paź posłuszny, lalki nosić. Ale Wandeczka była już wtedy wielce sprytną kobietką małą i rzadko kiedy, chyba tylko dla wypróbowania swej potęgi, lalkę wydobywała. Inaczej, potrząsając zalotnie ciemnemi lokami, prowadziła za sobą pana Jana, to do swego ogródka na spacer, to mu pokazywała książki z obrazkami, to się kazała bawić wspólnie ze swoją sarenką obłaskawioną, aż Jan w siedemnastym roku szkoły w Warszawie skończywszy, za granicę wyjechał, część czasu

w Heidelbergu, część w Paryżu przebywając. O towarzyszce dzieciństwa zawsze przecież trochę pamiętał i parę razy przysłał jej na przypomnienie się pamięci jakieś cacko ładne, a gdy trzy lata temu już młodzieńcem dorosłym, bo właśnie pełnoletnim do domu powrócił, i Wandeczkę siedemnastoletnią panną Wandą znalazł, kto wie czyby nie było do prawdziwego rozkochania się przyszło, gdyby z kolei panny Wandy za granicę nie wieziono. Przecież dwa miesiące czasu w sąsiedztwie z sobą przebyli i choć panna Wanda, bardzo drobna i malutka figurka, jeszcze przez mamę trochę za Wandeczkę uważaną była, choć miała jeszcze włosy obcięte i w loki je dotąd zwijać musiała, co w tym wieku ma miejsce we wszystkich wyższych domach, jak p. Podleska córce tłumaczyła, niemniej czarne oczy p. Wandy dziwnie serce Jana wzruszały, a jego oczy może też na nią podobny wywierały skutek, bo już po dziecinnemu za sobą go wodzić przestała, choć wodziła może w sposób inny. Gdy odjeżdżać miała do Drezna dla dokończenia edukacyi i powrócenia może już hrabianką wykwalifikowaną, w jadalnym pokoju kamienieckiego dworu, zaszła między nią i Janem scena pożegnania coś znaczyć mogąca. On był przez cały czas pożegnalnej wizyty państwa Podleskich bardzo smutny, ona przeciwnie bardzo trzpiotowato wesoła, gdy przecież w chwili odjazdu Jan w jadalnym pokoju płaszczyk i kapturek podawał, ona śmiejąca się ciągle, przy podziękowaniu rzekła mu nagle: — A proszę tu na mnie czekać i nie bałamucić się sercem. Chcę na pana weselu tańcować, i nie wolno go panu przed moim powrotem wyprawić....

Jemu się coś dziwnego w sercu stało, chciał rączkę uchwycić, możeby mu było na usta jakie gorące słówko wybiegło, słówko, które byłoby dwoje młodych serc związało, ale p. Wanda, jak jej sarenka zawsze pierzchliwa i teraz jak żywe srebro mu umknęła. Żegnać się zaczęła z Jadwigą, z p. Piotrową, która dla pokrewieństwa z matką, zwykle ciocią nazywała, i dopiero już z karety do niego się odezwała. — Proszę mnie pamiętać i z weselem się nie spieszyć — zawołała, przez okno na niego wyjrzawszy. Usteczka do wiśni podobne śmiały się, ale czarne oczy spojrzały trochę nie śmiejącym się sposobem.

Przez trzy lata żadnych stosunków między dwiema rodzinami nie było. Pani Podleska z Drezna do Paryża, z Paryża podobno do Włoch pojechała, i tylko sposobem pogłosek dochodziły wieści, że weszła w stosunki z towarzystwem najwyższem, i p. Wanda miała w niem powodzenie piękności uznanej. Wprawdzie fortuna, choć między szlacheckiemi znaczna, nie była temu trybowi życia odpowiednia, ale wioski były jeszcze nie zadłużone, a intratne i dobrze zagospodarowane przez uczciwego i sprężystego rządzcę, dawnego wojaka, który choć prawej ręki nie miał, i gdzieś ją w bitwie zostawił, a pusty rękaw w jej miejscu u bekieszki mu powiewał, lewą po wojskowemu ład gospodarski ująć umiał i na dobrach Podleskich wybornie gospodarował. To też pani Podleskiej mogło starczyć na trzyletni ten spacer, o którym ludzie mówili, że miał przeznaczenie p. Wandzie jakie świetne małżeństwo wynaleść, co z początku Jana skrycie raniło, ale trzeba powiedzieć prawdę, że powoli wrażenia przeszłości zatarły mu się w sercu. Do uczucia, jawnie już w piersi przemawiającego, jeszcze między nim, a p. Wandą nie przyszło, a prócz przyjaźni dawnej, było dopiero upodobanie, upodobanie dość silne przecież, aby długo pamiętnem zostało, nim przeciągające się oddalenie, a nakoniec kłopotliwe zajęcie innego rodzaju zagładziło ślady jego pierwotne. Gdy Jan zaraz za przybyciem z Heidelberga brał od ojca dzierżawę, w okolicy uśmiechano się poszeptując, że bezpośrednie sąsiedztwo Kamiennej Woli z Podlesiem, coś się do tej zaradności Jana przyłożyło, że owe coś istniało rzeczywiście, przypuścić można, ale prędko bardzo poznał syn najmłodszy stan interesów rodzicielskich, to też ciężka troska, jaka się ztąd dla niego wybijała i gospodarstwo, prowadzone już z wysiłkiem takim, o jakim na Mazurach w białych dworach się mówi, że jest harowaniem, przyczyniło się do tego ogromnie, że tęsknota uczucia nie spotęgowała, a czas zatracił je zwolna. Jan został jak gdyby na padole pracy i zabiegów kłopotliwych, gdy panna Wanda bujała w jakimś wesołym i nieopatrznym świecie ucztowania niekończącego się nigdy, i ilekroć o niej zasłyszał, była to zawsze jakaś wieść wonią salonów wielkiego świata przesiąkła, atmosferą balową owiana, aż drażniony z początku, zobojętniał zwolna i już myślą za nieobecną tak nie gonił, jak żeniec, który pracowicie i mozolnie kłosy żąć musi, nie goni zdradliwego motylka, który chwilę koło niego podlatując, potem gdzieś raptem odfrunie i barwistemi skrzydełkami w słońcu migoce. Uznojony żeniec raz po raz z żalem pewnym za skrzydlatem żyjątkiem spojrzy, ale go z siatką ścigać nie pójdzie i Jan podobnie wspomnienie panny Wandy w sobie zatracił, a od kilku miesięcy żadne nawet przypadkowe przypomnienie na pamięć mu jej nie przywiodło i dopiero teraz wśród rozmyślań nocy bezsennej, postać jej zjawiła się przed nim.

Przypomniał mu się jadalny pokój w kamieńskim dworze i twarzyczka marmurowo biała z wyrazistem okiem czarnem, z usteczkami jak wisienka purpurowemi, które się do niego tak wesoło śmiać umiały, gdy oczy zapałały czemś, co nie było samą pustotą wesołą. Przypomniała mu się z kolei nawet ta Wandeczka, ciemne loki niedbale sobie z czoła strząsająca, gdy w swoim ogródku truskawki z grządek zrywać mu każe i jak królowa wyciąga potem rączki maciupkie, po ten jej należny haracz przysmaku. Jan uśmiechnął się już szczerze do tych wspomnień dziecinnych, przyjaciółka dawna stała mu się nie wymownie miłą w tej chwili, i byłby w ten moment chętnie wstał i poszedł piesz przez bór do Podlesia, gdyby wiedział, że ją tam znajdzie, zobaczy, i usłyszy głosik miluchny, coś w dźwięku swoim do wiosennej piosenki skowronka podobny. Uśmiechnął się raz i drugi, aż mu nagle dziwna gorycz uśmiech ten wykrzywiła. — A! rzekł sobie prawie głośno — teraz i z panną Wandą musiałbym być baczny i ostrożny, bo i ona bogata!... za bogata obecnie na mnie, więc ludzie mogli by również uszczypliwie nas podglądać...

Rzucił się na łóżko tak, aż żelazne pręty zatrzeszczały. Gniewny był na samego siebie, że się na ten tor myśli wprowadził, że je tak drażliwie brał do serca, że się w nim jakiś niekonsekwentny upór chciał sprzeczać z tem, co było koniecznym wynikiem położenia raz przyjętego. — Śmieszna rzecz odkrywać to dopiero w lamentach jakichś, że co innego jest życie ludzi bogatych, a co innego ubogich — mówił sobie z rozdrażnieniem. — Albo się trzeba jak Władysław urządzić i pewne delikatne strony uczuć za głupstwo uznać, albo przyjąć spokojnie następstwa konieczne rzeczy nieuniknionych...

— To też spij asan spokojnie i w brednie się przy gwiazdach nie baw — zawołał na siebie surowo. — Jutro przecież w twojej Kamiennej Woli będą na dach domu gajowego krokwie zaciągać i kiedyś nie miał pieniędzy na cieśle i sam chcesz majstra udawać, to nie trzeba ci dopiero porankiem jak wielki pan zasypiać...

Zasłonił sobie oczy kołdrą i czy spał, czy tylko spokojny sen uparcie udawał, niemniej nazajutrz gdy ludzie na robotę wychodzili, on już z cygarem w ustach na ganku

domu stał i powitał ich zwykłem swojem powitaniem: — Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony!...

— Na wieki wieków!... odpowiedziała pracowita rzesza, baranich czapek, albo słomianych kapeluszy uchylając. Powitano się w imie Boże, więc też bez goryczy, a że ta gromadka ludzi dążyła dla skrócenia sobie drogi przez podwórze dworskie i okólnik, aby za stodołami wyjść na miedzę niwy przenicznej i dobrać się tamtędy wprost ku wznoszącej się budowie, którą na skraju lasu na dom dla gajowego wznoszono, Jan zawołał na starego Banacha, który mu za podmajstrzego służył. — Zaraz ja tam ojcze za wami zdążę, tylko mi konia podadzą, bo potem pojadę dalej łąki objechać.

— A pięknie nam panie latoś trawa rośnie — odparł Banach czyli Benedykt Lipa inoby trzeba niedługo tropić baby, które tam będą za manną lazły. Niech pan tego w łąki nie puszcza, bo baba tak jak gęś: niby to nic skoro przejdzie, a wydepcze okrutnie....

— Podniesie się potem ojcze, jak wiatr przewieje — odparł Jan z uśmiechem. Manny nie zbierać szkoda, bo to z łaski bożej spada.

— Tak! dodał sobie w myśli — szkoda tej manny nie zebrać, którą Boża łaska spuszcza i mnie byłoby szkoda tego rzeźwiącego ranka zaspać. Rosa w majowem powietrzu pita tak pierś miło ochłodzi, świat w promieniach wschodzącego słońca tak wesoło występuje przed oczy, tak coś w wietrze porannym do poczciwej pracy, ruchu, czynności woła, że człowiek razem z pszczołami rad z ula swego wylatuje. Jeszcze to życie nie najuboższe, kiedy robota dla celu drogiego pełni się w gromadzie ludzi bratniej, pod takiem słońcem, na kochanym zagonie rodzinnym!... Nie, doprawdy i był ze mnie wczoraj kawał pyszałka i kawał ogromny mazgaja bajronisty.... Czy to mało takich jak ja, którzy choć szlachecką jakąś skórę na grzbiecie mają, przecież pełnego worka dukatów na świat z sobą nie przynieśli i jeżeli tylko istotnie czyste czoło szlachetnie noszą, nikt ich o nikczemność nie posądza....

Jest drugostronnie rzeczywista godność dumy mezkiej, którą sobie rozsądnie warować trzeba — dodał Jan Kamieński wyniosłym jakimś wzrokiem w świat ku złotemu słońcu poglądając — jest nie zawodnie i Jadwisia miała słuszność powiedzieć mi, co powiedziała....

Wkrótce potem Jan znalazł się wszędzie, gdzie go było potrzeba, i przy chacie, którą wśród lasu budowano i na łąkach, które objeżdżał w tej chwili właśnie, gdy słońce po nad las się wzniósłszy, pełnemi potokami światła bić na nie poczynało. A miały wkrótce zakwitnąć i trawy; już w wysokim kiściu stały, uperlone rosą, drżące od wiatru porannego, czekające na rój pszczół, który już nadciągał, na motyle i muszki brzęczące, które się budziły, gdy drobne ptaszki już podlatywały górą i śpiewały, śpiewały do słońca całą siłą gardziołek maleńkich. Był to widok bardzo piękny i razem bardzo pospolity, dlatego osobliwie, kto na wsi od urodzenia żyjąc, mógł go mieć do syta skoro tylko zachciał; Jan niemniej miał słuszność, gdy działanie tego pospolitego, zwykłego piękna natury, które porankiem majowym otoczyć go miało, nazwał sobie manną łaski Bożej. Manna zawsze nam się jak cud dostaje i jak cud też stał się z Janem, gdy wśród piękna odświeżonej natury się znalazł, i wzrok puścił po rozbudzającej się ziemi, skąpał go w różowych blaskach wschodzącego słońca. Gdzież on miał teraz zawołać, że świat zły, a ludzie na nim mali!... zawołałby chyba, że świat jest boży, bo piękny, a on się na nim dobrze rozrządzić potrafi, bo czuje się młody, zdrów i mocny! I ubogim wcale się dziś nie uznawał na tym kawałku rodzinnego gruntu, który wstające słońce tak właśnie bogato purpurą i złotem malowało. Choćby istotnie do tego przyszło, co niedawno Oktabowiczowi w zapale gorących uczuć wypowiedział, że gotów z glinianej misy jadać, gotów siwą sukmanę i baranią czapkę nosić, jeszczeby to bynajmniej nędzą nie było.... Nędza to brak taki, pod którym człowiek upada, a on czyżby braki podobne i wtedy cierpiał? Wszystko było do koła niego piękne, a swoje, albo z bliska mu krewne, albo dobrze znajome i powinowate, wszystko kochane od tak dawna jak pierś oddychać zaczęła, a on wśród tego pierwszą pełnią życiowej siły krzepki i pracy się nie lękający. — Z sercem zaś, gdyby było niesforne, zawsze sobie poradzę — rzekł może trochę wyniośle pod natchnieniem dumy młodej — szacunek ludzki zawsze mieć muszę!

I jechał pod wiatr majowy, z pewną rozkoszą twarz mu nadstawiając, puszczał wzrok po masach zieleni i przez blaski światła już teraz złote i gorące, a młode czoło nie zachmurzyło mu się ni razu, bo nigdzie szkody nie znalazł. Nie bywało jej w Kamiennej Woli dlatego przedewszystkiem, że gospodarz nie leniwy byłby ją prędko odkryć potrafił, a ludzie o tem dobrze wiedzieli; powtóre dla tej przyczyny, że zmiana zaszła w położeniu panów kamieńskich, już była gromadom obu wiosek znaną, i ukrzywdzenie ich najmniejsze uważanoby teraz za grzech nie odpuszczony. Rody dawne, które się wciąż jednego kawałka gruntu trzymały, były zawsze z ludem wioskowym serdecznemi węzłami pewnego uczucia związane, a w gminie kamieńskiej najpierw sam p. Piotr był bardzo kochany, potem Jan wziął w całości spadek tego przywiązania. Kochano go szczególniej dla tej samej przyczyny, dla której Oktabowicz go szanował, zanim jeszcze wszedł z nim w stosunki osobiste: był nie tylko w postępowaniu z ludźmi delikatnie dobrym i szlachetnie sprawiedliwym, ale pracowity, czynny, a nieutratny, nie gorszył pracowitego ludu grzesznem niedbalstwem, nierozsądną rozrzutnością i hulatyką niemoralną. Nie zbierano się u niego, aby pić i grywać w karty po nocach, nie hulano w sposób starą obyczajność ludu oburzający, to też jak Oktabowicz, jak każdy żyd faktor z miasteczka, tak chłop w chałupie mówił o nim jednako: — Porządny pan!...

Więc też gdy odkrywano przed nim głowy, to się serca przymusem bolesnym w piersi nie szamotały, i siwy wieśniak witał go bez uczucia świętokradztwa formułą starą: — Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony! Ruszono ramionami gdy Władysław wyjechał, nie dostrzeżono nieobecności Adama, ale gdy wieść po wioskach poszła, że Oktabowicz je obejmuje, i w kamieńskim dworze zamieszka, stał się po chatach taki lament serdeczny, taki niepokój i żal wzbudził się w sercach ludzi prostych, że aż drużyna wybrana przyszła do dworu staremu panu to wymawiać. Każdy kto wiejskie stosunki zna dobrze, zna i to wyrażenie odwieczne, które na usta wieśniaka występowało, gdy dziedzic dawny wieś z ręki wypuszczał, i w posiadanie obcemu ją oddawał: — pan nas zaprzedaje! Czasem mawiano to tylko chmurnie, czasem żałośnie. Nawet przy zmienionem położeniu ekonomicznem wyrażenie to istnieje, i dotychczas jeszcze mimo zmiany owej, nie stanowi frazesu pustego, bo jeszcze dziś duszę ludową wraz z gruntem się sprzedaje temu, kto po nas we dworze się rozsiądzie, gdyż dwór to z konieczności cywilizacyjnego wpływu swego, ognisko takie, które z siebie dobre lub złe wypromienia, więc duszą swoją na tamte dusze działa, panuje nad niemi i w posiadaniu swem trzyma.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jan Ramzau.

ROMANS MARYNI.

POWIEŚĆ NA TLE ŻYCIA WIEJSKIEGO.

Drukowana w popisowym numerze popularnego czasopisma „Touche à Tout."

12) PRZEKŁAD Z ORYGINAŁU.

(Ciąg dalszy).

Ileż to M. olbrzymich kreślił swojem piórem na kajetach, w których spisywał słówka angielskie lub odbywał ćwiczenia ze składni! Wszystkie marginesy były niemi pokryte. Chciał także pisać *Marya,* ale skromność naszeptywała mu zaraz zmianę na *Maryonetkę* lub *Marynarza.*

Myślał od rana do wieczora o pannie Maryni. Pomimo wszystkich wysiłków i mozołów, ażeby zapomnieć o niej, nie mógł przeżyć jednej godziny, ażeby obraz ślicznej jasnowłosej nie stanął mu przed oczyma. Wyobrażał sobie, że cała przeszłość pozostanie tam z tą starą rękawiczką, którą wsunął pewnej nocy pod jedną z desek podłogi. A jednak przeszłość goniła go nieustannie; pojechała za nim do Bordeaux; cała była w jego pokoju; i bywały wypadki, gdy Bertrand, poczuwszy z wiatrem zapach sianorzęcia, zaczynał płakać, wymieniał imię Maryi, niewiernej Maryni, której pocałunek czuł dotąd na twarzy.

Jakże mógł zresztą zapomnieć w tym domu, z którego nigdy nie wychodził, gdzie nigdy nie widział żadnej kobiety, ani starej, ani młodej? Czyliż nie był skazany na ciągłe marzenie o niej? na sen o niej coraz częstszy, coraz uporczywszy, tak jak więzień marzy i śni o powietrzu i przestrzeni?

Zaczynał nieraz pisać do niej, poważał się teraz, bo był pewnym, że nie znalazłaby żadnego błędu — zaczynał długie listy, w których wypowiadał wszystko: że ją ubóstwiał, że chciał przez nią zabić swojego brata i że powinna była kochać tylko jego jedynie, jeżeli nie chce, ażeby on zwaryował na dobre...

Poczem, pomyślawszy, że to wszystko będzie zapewne zbyteczne, bo ona kochała Cypryana, bo go pewno wkrótce zaślubi, darł listy i odchodził konjugować jakie słowo angielskie lub odczytywać dzieje swego ziomka Henryka IV, napisane piórem czcigodnego Perefixa.

Marynia, zgodnie z przyrzeczeniem, powróciła na Wielkanoc do Samów.

Powróciła także w sierpniu, ażeby pozostać do końca jesieni.

Cypryan widział się z nią. Prawie co niedziela przyjeżdżał z Tarbów za urlopem dwudziestoczterogodzinnym, a chwile, spędzane przy niej, wydawały mu się zachwycającemi. Jakże ją zawsze piękną znajdował z temi włosami idealnej blondynki! Jakże był szczęśliwy, ilekroć chciała mu powtórzyć to, co mu wyznała ledwie szeptem pewnego wieczoru, nad brzegiem Biduzy, Biduzy równie jak ona jasnej i upstrzonej jaskółkami!

Niestety, musiał jeszcze pozostać w koszarach lato całe! Ach jak to będzie długo! Ale na wiosnę drugiego roku zakatarzył się, katar przeszedł w zapalenie oskrzeli i przez miesiąc przeleżał w łóżku. Dano mu urlop na kuracyę. Po ukończeniu urlopu, major zbadał żołnierza Bruscaila i znalazł jeszcze podejrzane miejsca w płucach. Urlop przedłużono mu na trzy miesiące i przez ten czas Cypryan, przy pomocy swego krewniaka doktora Bruscaila z Bayonny tak się urządził, że dostał urlop zupełny.

Było to w lipcu, pani Couloumerowa młodsza i jej córka miały właśnie przybyć z Paryża. Oznajmiono im dobrą nowinę i niezwłocznie właściciel Budy pomyślał o rzeczach poważnych. Jego spadkobierca miał dwadzieścia trzy i pół lat. Zapewne było to za mało, ażeby się miał zaraz żenić. Ale, gdy szło o rzecz dobrą, nigdy zawcześnie nie było.

Bruscail rozpoczął szeregi wizyt do swej uprzejmej sąsiadki pani Couloumerowej z Samów. Nie wiedział dobrze, gdzie się znajdują winnice pani Couloumerowej z Samów, ani jak były wydajne, no a... pos! dobrze jest nieraz wiedzieć o tem i owem!

I spacerując ze swą uprzejmą sąsiadką — starzy obywatele lubili bardzo spacerować na otwartem powietrzu, wzdłuż dróg, po bokach których leżały ich grunta, — on badał zbiory, obliczał obszar gruntów, gatunek traw.

— No tak, no tak, tak jest! — rzucał od czasu do czasu, gdy zbyt sumienny przegląd przerywał mu nić rozmowy.

Pani Couloumerowa domyślała się dobrze, co ten stary lis porabiał u niej; był na wywiadach, czy kura miała dość tłuszczu, oczywiście, i czy wogóle warto było zabiegać o kurnik.

Ale ponieważ bardzo pragnęła wydać wnuczkę za mąż w sąsiedztwie, ażeby ją jaknajdłużej zatrzymać przy sobie, pani Couloumerowa z całą gotowością wtajemniczała go w przymioty kurnika. Wyszczególniała mu grunta, przesadzała trochę cyfry dochodów, oznajmiała, że jej las z Arthonsu posiadał przepyszne pastwiska. I Bruscail podnosił nos na te słowa. Las? Miała więc las pani Couloumerowa? Nic o tem nie wiedział. Fiu! Fiu! On, któremu właśnie brakowało lasu! A toby się ślicznie zaokrągliła posiadłość Budy tym lasem z Arthonsu!

A przytem skonstatował, że majątek pani Couloumerowej był prawie w jednym kawałku, a jaki piękny był to kawałek! Przez łąkę Hountiny przylegał on do posiadłości Budy, a obie, połączone razem, tworzyły kilometry i kilometry w dolinie rodzinnej! Szły od Bardonu, przerzynały Guiche, Samy i Hastingi, prawie bez przerwy, aż do przystani w Pau! I ze swojego okna Bruscail mógłby powiedzieć, ogarniając wzrokiem zieleniejącą przestrzeń:

— Wszystko to, to moje lub mojej rodziny! Wszystko, wszystko, wszystko!

Boże Wielki! Gdy spostrzegł tę olśniewającą możliwość, buty jęły mu stukać po drogach gliniastych już nie

jak dzwony z Guiche, lecz jak basy dzwonów w katedrze z Bayonny. I bezwiednym ruchem zażył tabaki, jasność błysnęła mu w oczach, jak chyba temu z konkurentów, któremu tron przyznany zostaje... Tysiąc kartaczy!... Gdybyż Cypryan nie był osłem...

— Tabaczki? — zaproponował po tem wszystkiem pani Couloumerowej.

I przy tabaczce rozwiązały się języki.

— A no więc tak, proszę ja pani mojej!... Pani wiesz, że Cypryan skończył już swoją służbę. Trzeba by chłopca ożenić....

— To tak jak z moją Maryetką; będzie jej niedługo dwadzieścia latek.

— Już dwadzieścia?

— Mało co braknie! Jezus Marya! A czy to mało partyj?...

— Zapewne, zapewne!... Ale partyj poważnych w takich czasach, jak dzisiaj...

— Czy to wiadomo kiedy, która partya bywa poważną?

— Ach, pani Couloumerowa! Zdaje mi się, że po co długo szukać...

— Ja bo nie do pana mówiłam, panie Bruscail. Gdy się kto zna tak jak my, od lat czterdziestu...

— I kto się tak szanuje...

— Niezawodnie, niezawodnie!

— Gdy się źdźiebełko zalecało liczyć... Bo zdaje mi się, żeśmy się mieli ku sobie, Honor...

— Tylko, panie, panie, bardzo proszę!

Tak harmonijne preludium nie mogło doprowadzić do finału zbyt niezgodnego.

Dla czegożby Honorata i Jan Piotr nie mieli rzeczy ubić zgodnie? Mieli tyle ochoty jedno i drugie pożenienia swoich dzieci. Zapewne, ze strony Bruscaila była pewna obawa: pani Couloumerowa z Paryża mogła nie być tak bogata, za jaką ją miano. Ale ze swej strony, babka Maryni mogłaby zaprotestować przeciwko temu młodszemu bratu, którego musiano umieścić w domu obłąkanych. To było jedno za drugie, oczywiście; a ponieważ młodzi sympatyzowali wzajem ze sobą, byłoby rzeczą nieludzką, nieprawdaż, stawać w poprzek na drodze ich szczęścia?

Pani Couloumerowa z Paryża była uprzedzona już od chwili przyjazdu. Wcale nie popierała tego związku dziś bardziej, niż poprzednio: tych Bruscailów tak było czuć oborą; a potem, ten waryat w rodzinie, doprawdy...

Ale myśląc, że wcale poważna ulga materyalna spotka ją z chwilą zaślubin córki, że młode małżeństwo będzie dość bogate dla wynajęcia pięknego apartamentu w Paryżu, może nawet pałacu, i przyjmowania w nim gości w ciągu całej zimy, że w tym apartamencie czy pałacu, kilka pokojów mogłaby mieć dla siebie i że w nieobecności dzieci posiadałaby rezydencyę wspaniałą, gdzie mogłaby mieszkać przez cały rok, wydawać bale, do licha! — wtedy pojęcia pani Couloumerowej, z domu de Flavilly, wyraźnie zmieniły barwę.

— Bądź jak bądź, oboje starzy zostaną na swoich śmieciach. Zanadto boją się tuneli!

Małżeństwo Cypryana z Maryą nie natrafiało już tedy na przeszkody kapitalne. Kilka tygodni refleksyj zrezygnowały zupełnie panią Couloumerową młodszą. Oświadczyny odbyły się we wrześniu i zostały niezwłocznie przyjęte.

Marynia zdawała się być trochę smutną przez cały tydzień; a chociaż pragnęła, serce jej nie doznało oczekiwanego wzruszenia, takiego, jakiem już drżała owego wieczoru, gdy się po raz pierwszy żegnała z Cypryanem, czy z młodzieńcem, którego miała za Cypryana. Ale cóż z tego? Poślubi wspomnienie! Ileż to kobiet nikogo nie poślubia?

Zaręczyny odbyły się w wigilię Bożego Narodzenia.

Postanowiono, że ślub zawarty zostanie na wiosnę.

W styczniu, po spędzeniu kilku dni w Paryżu, Marynia powróciła do Samów. Narzeczony odwiedzał ją o zmierzchu. Jeżeli się kiedy nie zjawił, ona z matką lub babką udawały się do Budy.

Pewnego wieczoru, gdy Kasia robiła jej honory domu i pokazywała jej niektóre pokoje, nieznane jej dotąd, jedna fotografia, oprawiona w imitacyę szyldkretu, zwróciła uwagę młodej dziewczyny.

— Patrzcie! Cypryan! — rzekła, dopatrując się podobieństwa.

— Ale Kasia odparła:

— To nie Cypryan!

— Tak? Więc któż to jest?

— To jego brat.

— Ach! Bertrand? Ten, co...

— Tak, Bertrand.

— Pani się nie myli?

— Nie, nie! Proszę spojrzeć z tyłu. Tam napisane.

Istotnie było tam napisane: Bertrand w 17-tym roku, charakterem dziecięcym na spodzie fotografii.

Marynia zarumieniła się.

— To dziwne, — szepnęła, — a jednak byłabym przysięgła...

Było to wspomnienie, jakie poznała w portrecie kosiarczyka, który jej dał pocałunek tak dobry, tak dobry! na wozie z sianem, zaokrąglonym jak kopuła.

To jednak ten Bertrand był ładny, ten sam Bertrand, którego widziała zeszpeconego i który był zamknięty w domu waryatów? Dziwnie był podobny do brata w owym czasie.

O nie, nie! ten był jej wspomnieniem, poznawała doskonale oczy, wyraz, słodycz uśmiechu. Musiano się pomylić.

Dla upewnienia się, spytała;

— Czy pani nie masz portretu drugiego brata z tego samego okresu czasu?

— Cypryana? Mam, zdaje się, — odparła Kasia — musiano ich fotografować jednego dnia.

Przeszukała album i wkrótce znalazła portret tego samego formatu i tego samego fotografa; portret przedstawiał młodzieńca nieco starszego, w kapeluszu na bakier.

— Oto jest! — rzekła Kasia, podając ten drugi portret.

— Ach!... któż to jest?

— No Cypryan!

— Cypryan, doprawdy?

— Ależ tak! Proszę zobaczyć z tyłu. Musi tam być napisane, jak na tamtym.

W istocie fotografia nosiła od spodu taki napis:

Cypryan w ośmnastym roku.

Maryetka zamyśliła się. Młodzieńca, którego przedstawiał portret, nie przypominała sobie, i te jego oczy, i te młode wąsiki, i ta powierzchowność już trochę zbyt pewna siebie, ten kapelusz na bakier, — wszystko to obce jej było. A jednak zdjęcia dokonano właśnie w tym samym roku, w którym mogła poznać Cypryana! Co to miało znaczyć?

Odkrycie to tak ją poruszyło, że nie mogła dłużej zabawić na wizycie w tym domu.

— Może mi pani raczy pożyczyć tej fotografii? — zapytała Kasi z pewnem zażenowaniem.

— Której?

— Pierwszej, tej bez kapelusza.

Kasia chętnie pozwoliła ją zabrać.

Marynia zeszła na dół, wsunąwszy portret do swej futrzanej mufki.

W godzinę potem, przechadzając się z Cypryanem po alejce bezlistnych platanów, wyjęła fotografię z mufki i znienacka ukazała ją przed oczyma narzeczonego.

— Zna pan tego młodzieńca? — spytała.

Cypryan zawahał się przez chwilę. Poczem odparł:

— Naturalnie.

— Któż to taki?

— Mój brat.

— Pański brat? Doprawdy... W takim razie ów drugi młodzieniec, tam na górze, w kapeluszu na bakier, to...

— W kapeluszu na bakier?... Nie przypominam sobie...

Nastała chwila ciszy.

Marynia kiedy niekiedy zamykała powieki.

Cypryan, niemniej wzruszony, przygryzał swoją muszkę, szarpiąc ją nerwowo.

Nagle dziewczę zwróciło się doń:

— Powiedz mi pan, — spytała głosem zniżonym, świadczącym, że serce jej drżało, — nie pamięta też pan, czy pański brat napełniał także wóz sianem owego wieczoru w maju, kiedym to ja przyszła na łąkę?

— Na jaką łąkę?

— Z pod Hountiny... Pan wie dobrze! Często mówiliśmy o niej...

— Ach, tak...

— Brat pański był tam, nieprawdaż?

— Bertrand?... Mój Boże! to już tak dawno temu...

— Czy nie napełniał drugiego wozu? tego, co się znajdował mniej więcej na środku łąki?

— Drugiego wozu?... Nic a nic nie pamiętam... Ale cóż pani teraz może tak bardzo zależeć na tem?

— Bardzo mi zależy!

— Ach!

Oczy ich spotkały się wzajem i Marynia drgnęła, jakgdyby ujrzała była w oczach narzeczonego coś tajemniczego, niespodziewanego, coś, co przejmowało trwogą.

I rzekła drżąca:

— Ach, proszę, przypomnij pan sobie!... Na którym wozie był brat pański? Czy nie na tym, na który ja...

— Na który pani...

Marynia nie mogła powiedzieć nic więcej. Zbladła i zamknęła oczy.

— Co pani jest? — spytał Cypryan, biorąc ją z niepokojem za rękę.

— Nic! — odparła zcicha.

— Jednakże...

— Nic! fantazya, ciekawość mnie wzięła... Ach, jak zimno! Wracajmy, dobrze?

Uwolniła rękę, wsunęła ją do mufki wraz z fotografią o złoconych brzegach, z portretem wspomnienia, przy którym palce jej dygotały, jak palce kryminalisty.

X.

Cypryan zrozumiał doskonale; narzeczona wahała się pomiędzy nim a jego bratem; pytała sama siebie, czy to nie Bertranda obdarzyła była pierwszą swoją miłością, czy to nie jego kochała dotąd?

Co jednak mogło zajść wtedy pomiędzy nią a Bertrandem, skoro oboje zachowali o sobie wzajem tak żywe wspomnienie?

Cypryan klął z gniewu. Nie, wątpić nie mógł; powód istniał. Marynia pomyliła się co do braci. Zdawało jej się, iż w nim odnajduje Bertranda! Gdyby Bertrand był ją słyszał mówiącą o tej łące, o tym starym dębie, o tej rękawiczce i o tylu innych rzeczach, których Cypryan nic a nic zrozumieć nie mógł, wiedziałby wszystko doskonale i rozczuliłby się wywołaniem przeszłości, tak jak rozczulała się ona.

Może jeszcze i teraz myślał o tem, tam, w domu waryatów, o tej rękawiczce, o tej łące?

Może dotąd kochał Marynię tak, jak był przez nią kochanym.

— Ach! Żebraczysko!

Teraz z kolei Cypryan stał się zazdrosnym. Chciał przyspieszyć zaślubiny... Bał się teraz, ażeby mu się Marya nie wyśliznęła.

Rzekł raz do niej z zupełnie nową pokorą w głosie:

— Dla czego mamy czekać aż do wiosny, najdroższa moja? Wiosna tak daleko! Czy nie kochasz mnie pani dość na to, ażeby się ślub nasz mógł odbyć przed Wielkanocą?

Oczy narzeczonej spochmurniały.

— O tak, — odrzekła, — i jabym chciała, ażeby się to mogło odbyć przed Wielkanocą, ale to niepodobna, zapewniam pana. Tyle jest rzeczy do zrobienia, tyle formalności do załatwienia... Sam pan się przekonasz, że nie będziecie gotowi na Wielkanoc i założę się, że każecie mi czekać do Zielonych Świątek...

— O jeżeli to tylko odemnie zależy, panno Maryetko!...

— Czy pan nie mówiłeś, że trzeba wyrestaurować dom cały?

— No tak! Ojciec mój przygotowuje wszystko i już traktuje z przedsiębiorcą robót.

— No to jeżeli pan myślisz, że przedsiębiorca wykończy wszystko nawet na Zielone Święta...

— Ach!...

— Wie pan, co ja panu powiem? Nie będziemy się mogli pobrać prędzej jak w sierpniu!

I zmarszcza na białem czole Maryni, pierwsza może, jaką spostrzegł Cypryan, dała mu poznać, że rozmowa o tem nie idzie w smak dziewczynie.

Uczuł ranę żywą tuż przy sercu.

Jął podejrzywać narzeczoną o chęć opóźnienia ślubu.

I w istocie, postępowanie panny Couloumerówny nie zdawało się bynajmniej rozpraszać tych podejrzeń. Nie śpieszyła się wcale; nie zajmowała się wyprawą pilniej, niż czem innem. Mimi musiała ją aż podniecać.

Nadszedł luty. Ze strony narzeczonej nie uczyniono nic jeszcze dla rozgłoszenia ślubu. Metryka nie nadeszła dotąd z Paryża. Brakowało również świadectwa chrztu, niezbędnego do zapowiedzi w kościele. Młody Cypryan gryzł się okrutnie! Ach, nie miał już okazyi do gryzienia warg, ażeby powstrzymać wybuchy swoich ha, ha, ha, dawniejszych! Skończone ha, ha, ha! Sytuacya nie była do śmiechu! Gdyby przynajmniej zobojętnienie narzeczonej ostudziło i jego własny zapał! Ale było wręcz przeciwnie. Pożądał jej bardziej niż kiedykolwiek od chwili, gdy ona zdawała go się unikać. Miał ambicyę odniesienia zwycięstwa nad bratem, który w tak dziwny sposób stał się dlań rywalem. Chciał być kochanym więcej od niego, kochanym wyłącznie sam; chciał bądź co bądź wykorzenić w tej młodej dziewczynie tak żywe wspomnienie, jakie pozostawił w niej Bertrand.

Jakto, ten niedołęga, ten chłop, co trzech słów zliczyć nie umiał, miał być większym uwodzicielem niż on, który miał tyle dyplomów, który mieszkał w Paryżu i który dokonał tylu świetnych czynów, że ho!

— Doprawdy, doprawdy! — mruczał Cypryan do siebie: — musiałaby chyba zwaryować!

Postanowił podwoić pokusy i dać folgę wszystkim swoim wdziękom.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z

czas więc
F
zachęcać
r

Z
w ciągu
pozostaw
a w tym
wewnętrz
ma zupe

F
pięknych
tytuł: „L

1911 z k
natychmia

. 51.

aty.

hr 1911

ty

ır 1911

ır 1911